odgłosy

nr 33

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 12 października 1958 r.

W·MROZOWSKI

★ ★ ★

Zatonąć wśród żarnowców pociskiem starganych,
we wrzosach się zanurzyć, zachłysnąć się wiatrem,
i płynąć po znajomych sprzed laty burzanach
na czółnie wspomnień krwawym i brunatnym...
Niech Żołnierz choć na froncie przez chwilę pomarzy
w zapachu miast palonych i w łunach pożarów
i niech się przyjrzy, Morze, twojej wolnej twarzy,
meduzom wirującym wśród wolnych ukwiałów.
Niech niebo gwiazd wygasłych oczy mu przykryje,
niech szum znany usłyszy bijący o brzegi,
karabin niech odstawi, serce niech zabije —
sny wzlecą jak motyle, sny białe jak śniegi...
...i znów widzę Rozewie. Samotna latarnia
jak panna zawstydzona z daleka mnie wita:
„Gdzie byłeś przez lat tyle?" cichym szeptem pyta,
a echem odpowiada Karwia i Jastarnia.
Otwieram szerzej oczy. Tupadły, Oksywie
chłostane ostrym wiatrem poznają mnie z bliska,
— „Gdzie byłeś przez lat tyle?" — pytają lękliwie,
cóż mam im odpowiedzieć żołnierz bez nazwiska.
Tylko tyle, że serce nad Wisłą zgubiłem
i po latach niewoli przychodzę radosny
upić się tą wielkością, którą się upiłem
w trzydziestym ósmym roku swojej pierwszej wiosny.
Tylko tyle, żem tęsknił tak jak za dziewczyną
i w noc zamiast poduszki armatnią lawetę
miałem. I były chwile, że sam nie wierzyłem,
iż dorwę się do ciebie, dziś właśnie, bagnetem.
Ustępują marzenia, widziadła znikają.
Jest noc. Płoną na niebie figury Zodiaku.
W oddali słychać trąbkę — tak, to nasi grają —
i ostry dźwięk komendy: czołgi, do ataku...
Styczeń 1945 r.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

SZAMPAŃSKA NOC

Patrz str. 4

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

zdjęcia autora

MAŁA, SZARA ŁÓDŹ

Kiedy już reporter nasyci swój organ wzroku widokiem drewnianych chałupek przy centralnych ulicach Zduńskiej Woli, zaś organ powonienia ciężkim odorem, unoszącym się z kanału cieknącego przez śródmiejską dzielnicę, przychodzi moment refleksji: azali w mieście tym jest cokolwiek godnego uwiecznienia w słowie drukowanym? Strzeż się jednak, pobieżny obserwatorze, dać przeczącą odpowiedź na owo pytanie, póki nie porozmawiasz z ludźmi, gród zamieszkującymi!

Pierwszym mym interlokutorem był wąsaty dorożkarz. Wymierający ten w całym kraju gatunek pracowników transportu, tutaj zachował jeszcze swe pozycje ekonomiczne tudzież profesjonalne tradycje, mimo konkurencji dwóch taksówek. Dorożkarz vel fiakier (w Warszawie zaś zwany „sałatą") widząc mą nietutejszą aparycję z miejsca uraczył mnie obszernym dialogiem, z którego wynikało niedwuznacznie, że Zduńska Wola pogrąża się w haniebnej degrengoladzie.

— Przed wojną, panie dzieju, było nas trzydziestu i ośmiu i jeszcze musiełim po cztery razy obracać do każdego pociągu, a tera jak się trafi jaki klejent, to panie dzieju, kłóci się o każdego piątala" — oświadczył z subtelną aluzją do poglądu mego o zbyt wygórowanym cenniku usług dorożkarskich.

Wyraziłem ubolewanie, po czym wręczyłem mu dodatkowy banknocik i od tego momentu, zamiast „panem dziejem", mianowany zostałem „mecenasem"...

Dalszy ciąg str. 10

— Patrz pan, ten Ciepielewski dostał 600 złotych emerytury, a przecież ja pracowałem trzy lata dłużej...

Podczas dyskusji na VIII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich padło wiele interesujących uwag, wygłoszono wiele referatów. Przemawiali czołowi przedstawiciele polskiej nauki historycznej obok zwykłych, przeciętnych nauczycieli, którzy spodziewali się usłyszeć wskazówki i uwagi, pomocne w ich ciężkiej pracy dnia codziennego. Piszę — ciężkiej — gdyż, doprawdy, łatwiej jest napisać niestrawny podręcznik, niż nauczyć na jego podstawie historii.

Uderzyło mnie stwierdzenie jednego z nauczycieli śląskich, który oświadczył, że w odpowiedzi na bezimienną ankietę pt. „Jakich przedmiotów uczę się najchętniej" 70 proc. uczniów szkoły umieściło historię na ostatnim miejscu.

Jak to się dziać może, że przedmiot, który najbardziej predestynowany jest do tego, aby młodzież — ucząc się go — kształciła swoje uczucia patriotyczne, traktowany był w sposób niechętny, a nawet lekceważący?

Może ktoś od razu zanegować samą potrzebę tzw. wychowania patriotycznego, potrzebę kształtowania uczuć patriotycznych. Niektórzy wychowawcy — nauczyciele twierdzą, że było to konieczne wtedy, gdy nie istniała państwowość polska, gdy brakowało szkoły polskiej, a pielęgnowanie ojczystego języka i nauka historii polskiej stanowiły jedyny sposób obrony przed wynarodowieniem młodzieży. Uważają oni, że dziś nie ma potrzeby budowania z uczuć narodowych „ołtarzyka", uważają nawet, że mogłoby to prowadzić do szowinizmu.

Myślę, że takie rzekomo „nowoczesne" stanowisko stanowi jedną z przyczyn lekceważenia, niepokojących objawów niechętnego stosunku młodzieży do historii, a w szczególności historii ojczystej.

Dobrze więc się stało, że w Powszechnym Zjeździe Historyków uczestniczyło tak wielu nauczycieli, bodaj 800. Szeroka dyskusja nad wygłoszonymi referatami wzbogaciła wiedzę wielu zebranych. Wśród nauczycieli widać było nie tylko zainteresowanie, ale także żywy udział w rozważaniach na temat — jak historia służy współczesnemu społeczeństwu. Ostatecznie, to nauczyciel kształtuje w młodych pokoleniach świadomość historii.

Jak niegdyś dla uczciwych i postępowych Niemców dziedziną kształtującą sumienie społeczne była filozofia, tak wśród Polaków w okresie niewoli „nauczycielką życia" była historia. Według Lelewela historia była „wieszczem zawierającym abecadło rewolucji polskiej".

Dzisiaj sytuacja narodu jest zgoła inna i chociaż nauka ta nie odgrywa roli ideowej przewodniczki, ma duże znaczenie dla społeczeństwa, a będzie miała znaczenie tym większe, im więcej ludzi myśleć będzie kategoriami historycznymi. Polacy myślą tymi kategoriami, ale myślą w sposób swoisty.

W życiu przeciętnego obywatela sporo miejsca zajmują legendy z przeszłości, jakieś niezawsze wierne prawdzie obrazy historyczne czy wzory patriotyzmu.

Często się zdarza, że oceniając współczesność ludzie porównują ją z przeszłością. Takie porównania wypadają najczęściej na niekorzyść współczesności. Już sama dawność, odległość tamtych czasów stwarza obraz różowy, nierzeczywisty. Ten tradycyjny, można zaryzykować za prof. Bobińską stwierdzenie — szlachecki wzór historyczny, niekiedy nie pozwala zastosować krytycyzmu wobec tradycji wstecznych, obskuranckich, które na skutek tego żyją po dzień dzisiejszy.

Wielka jest więc odpowiedzialność nauczyciela historii, który szerokiemu ogółowi udostępnia nowsze badania, książki, prawie z reguły nie wychodzące poza krąg fachowców, przekazuje najnowsze osiągnięcia nauki historycznej, wolne od szkodliwych, „wszetecznych" tradycji.

Ale żyją do dziś nie tylko złe tradycje. Historia Polaków, którzy nigdy i nigdzie nie pogodzili się z niewolą, współdziałali ze wszystkimi chyba rewolucyjnymi ruchami, ta historia nadal jest żywa. Bunt przeciw krzywdzie, poczucie międzynarodowej solidarności — czyż to nie są elementy wychowania współczesnego Polaka?

Problem udziału historii w wychowaniu współczesnego człowieka nie może stanowić troski tylko nauczyciela. Chodzi o wspólny wysiłek nauczyciela i naukowca, zresztą widoczny, jeśli chodzi o przeszłość. Gorzej, gdy mowa o teraźniejszości.

Ale z własnego doświadczenia wiem, że szereg zagadnień postawionych w programie szkolnym przedstawia takie trudności dla nauczyciela, iż pokonanie ich wymaga niewspółmiernego z wynikami wysiłku. Mam tu na myśli głównie VII klasę gdzie program nauczania obejmuje właśnie teraźniejszość, tzw. „Wiadomości o świecie i Polsce po II wojnie światowej". Chociaż tytuł mówi „Wiadomości o świecie...", wykaz tematów obejmuje tylko cztery dotyczące państw obcych, a dwanaście odnosi się Polski Ludowej. Wśród nich są i takie: „Osiągnięcia i braki w wykonaniu planów gospodarczych", „Prawa i obowiązki nauczycieli" oraz inne z zakresu bądź to konstytucji, bądź też powstawania po wojnie Państwa Ludowego. Instrukcja programowa nieco upraszcza rzecz, sprowadzając cały ten dział do uwagi: „szczególną uwagę należy zwrócić na przeobrażenie polityczne i społeczno-gospodarcze Polski, jako państwa zwycięskiego socjalizmu, na solidarność Polski z krajami obozu socjalistycznego, a zwłaszcza na znaczenie przyjaźni i współpracy polsko-radzieckiej dla umocnienia międzynarodowej pozycji Polski, jej całości, bezpieczeństwa i rozwoju. Należy wyjaśnić znaczenie walki Związku Radzieckiego i wszystkich państw obozu socjalistycznego o utrzymanie pokoju".

Nauczyciel jest tu pozostawiony niemal absolutnie samemu sobie, ma „swobodę". Młodzież kończąca szkoły podstawowe uczy się niespodziewanie języka ekonomistów, obkuwa formy socjalistycznej organizacji pracy, grzebie się w normach, wskaźnikach, liczy pogłowie, analizuje błędy i wypaczenia. Z harmonijnej nauki historii skacze nagle w teraźniejszość, która nie ma określonego przedmiotu. I chociaż nie łamie nóg, pisze w ankiecie, że ma dość historii.

Na temat nauczania „Wiadomości o świecie..." na Zjeździe nie mówiono. Podręcznik nie uwzględnia tej tematyki. Współpraca naukowca z nauczycielem urywa się, nauczyciel pozostaje sam.

CZYTAJ NASZĄ „V KOLUMNĘ" NA STR. 5

Nasza szkółka

JAK WAM SIĘ PODOBA?

Wykonałem trzy czynności: 1) Ściągnąłem pomysł z pewnego naszego — co się zowie — powszechnego pisma. 2) Poszedłem do jednej fabryki, na jeden oddział szpitalny i do jednej szkoły wyższej. 3) Przedstawiłem pewnej liczbie zastanych tam ludzi propozycję małej zabawy typu „przekrojowego".

Wręczyłem mianowicie za każdym razem dwudziestu przypadkowo dobranym robotnikom, pacjentom i studentom, którzy wyrazili chęć uczestniczenia w zabawie, powieloną kartkę, na której było wypisane:

„Uszereguj zgodnie ze swoim subiektywnym przekonaniem oznaczając numerami od 1 do 12 poniżej podane osoby, biorąc pod uwagę ich pozycję w hierarchii społecznej. Daj wyraz swoim osobistym poglądom na to, kto według ciebie stoi w drabinie społecznej wyżej, a kto niżej. Nie dowcipkuj — chociaż jest to tylko zabawa. Kartki nie podpisuj.

dyrektor przedsiębiorstwa
minister
lekarz
biskup
robotnik
generał
profesor uniwersytetu
pisarz
nauczyciel
mistrz sportu
gwiazda filmowa
sędzia".

Potem udzielałem dodatkowych wyjaśnień, głównie w kwestiach terminologicznych („hierarchia społeczna", „pozycja" itd.). I wreszcie trzykrotnie zebrałem po dwadzieścia kartek. Na sześćdziesiąt odpowiedzi wszystkie oprócz jednej zaopatrzone były w komplet cyfr od 1 do 12, a tylko jedna zawierała uszeregowanie czterech tylko pierwszych osób czy raczej profesji.

Wynik generalny przedstawia się następująco:

1 — minister, 2 — biskup, 3 — generał, 4 — mistrz sportu, 5 — gwiazda filmowa, 6 — lekarz, 7 — dyrektor przedsiębiorstwa, 8 — pisarz, 9 — profesor uniwersytetu, 10 — robotnik, 11 — sędzia, 12 — nauczyciel.

W kategorii robotników (robotnic):

1 — minister, 2 — biskup, 3 — generał, 4 — mistrz sportu, 5 — dyrektor przedsiębiorstwa, 6 — gwiazda filmowa, 7 — pisarz, 8 — robotnik, 9 — profesor uniwersytetu, 10 — sędzia, 11 — lekarz, 12 — nauczyciel.

W kategorii pacjentów (dużo kobiet, środowisko w znacznym stopniu urzędnicze):

1 — minister, 2 — biskup, 3 — generał, 4 — gwiazda filmowa, 5 — lekarz, 6 — dyrektor przedsiębiorstwa, 7 — mistrz sportu, 8 — pisarz, 9 — profesor uniwersytetu, 10 — sędzia, 11 — robotnik, 12 — nauczyciel.

W kategorii studentów (II rok studiów):

1 — minister, 2 — generał, 3 — biskup, 4 — mistrz sportu, 5 — gwiazda filmowa, 6 — pisarz, 7 — dyrektor przedsiębiorstwa, 8 — lekarz, 9 — sędzia, 10 — profesor uniwersytetu, 11 — robotnik, 12 — nauczyciel.

Teraz słów kilka o metodzie podsumowywania wyników ankiety. Jest ona twórczą i wielce naukową metodą statystyczną, noszącą nazwę „pi razy oko". To znaczy, że jeśli ze dwóch, trzech ankietowiczów w danej grupie umieszczało robotnika na trzecim, czwartym miejscu, kilku na dziewiątym, a reszta na końcu — ja dawałem mu numer 11 itp. Mimo pozorów zupełnej dowolności wydaje mi się, że z uwagi na szczupłą ilość ankiet, pozwalającą na dosyć odpowiadające prawdzie ocenianie na oko — moje sumaryczne wyniki zbliżone są mniej więcej do obrazu wynikającego z odpowiedzi.

Zresztą nie ma tu i tak mowy o poważnej ankiecie. Ma ona status dziennikarskiej zabawy, zastępującej rozmowę z sześćdziesięcioma ludźmi.

Skoro więc Belfer nie ma prawa wyciągać tu żadnych wielkich wniosków — powyciąga sobie trochę malutkich. Wpierw sprawy szczegółowe.

Zwraca uwagę niezmienny prawie charakter czołówki i końca. Minister prawie wszędzie figuruje na pierwszym miejscu. (Raz wymieniony jest mistrz sportu, dwa razy biskup, raz generał, raz robotnik). Pokaźna ilość mężczyzn na końcu, podczas gdy na całym świecie zajmowaliby dosyć bliskie początku pozycję.

Niestety, nie tylko tradycjonalizm umieszcza na pierwszych miejscach żelazną trójkę, reprezentującą władzę państwową, wojskową i duchowną. Jest to, niestety, odzwierciedlenie obiektywnie istniejącego stanu rzeczy. Charakterystyczny jest żelazny prym ministra (niejeden z nich się uśmieje). Tak jak i kopciuszkujący niezmiennie na końcu nauczyciel.

Jak donosi „Tygodnik Powszechny", z czyjego to donosu zaczerpnąłem pomysł, w Niemczech zachodnich wynik podobnej, tylko już poważnej i przeprowadzonej przez instytut naukowy ankiety przedstawiał się następująco: 1 — profesor uniwersytetu, 2 — biskup, 3 — dyrektor generalny, 4 — minister, 5 — książę, 6 — generał.

Różnice ograniczają się tu w zasadzie do generała. Nie dziwota, iż nie jest on tam w cenie. Pozostałe wyniki gradacji uważam za tożsame. Boć przecie nasz minister odpowiada ich profesorowi, biskupowi, dyrektorowi i ministrowi łącznie. Stanowi swoistą kwintesencję wszystkich tych osób. U nas jest tylko oszczędniej. Pisze się minister i rozumie się to samo.

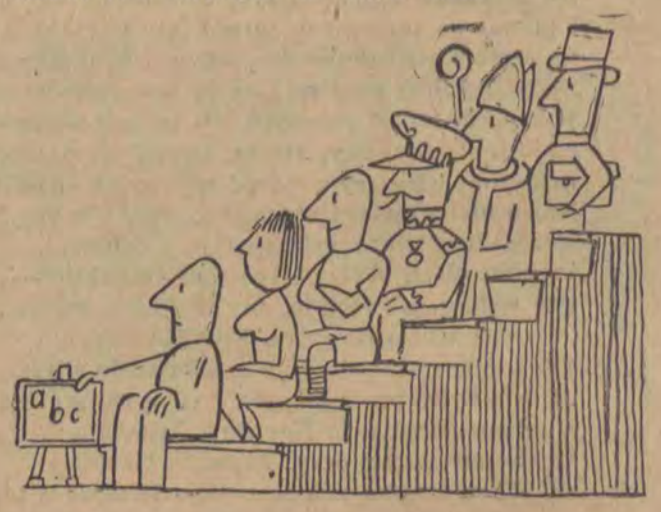

miejscu trzecim umieszczała generała, któremu ustępował biskup. Kobiety dawały często prym gwieździe filmowej, a mężczyźni znów mistrzom sportu. Dyrektorowi poprawili statystykę robotnicy (co jest oczywistym subiektywnym odczuwaniem faktu, kto u nas wysoko stoi), lekarzowi pacjenci, z uwagi na sugestywność pozycji lekarza w sytuacji szpitalnej, wielu studentów złośliwie a demonstracyjnie dało profesorowi uniwersytetu ostatnie i przedostatnie miejsce, walnie psując mu pozycję społeczną. Poza tym pisarza i mistrza sportu najniżej cenią urzędnicy, a nauczyciela wszyscy.

Jako się rzekło początkowe i końcowe lokaty stanowią pewną stałą. Zabawa w komórki do wynajęcia odbywa się w środku, pomiędzy dyrektorami, gwiazdami, lekarzami itp. Znajdujemy tu wszakże kilka dziwów. Lekarz wyżej jest stawiany (nie tylko w sumarycznych wynikach, ale i na ogół w poszczególnych odpowiedziach) od sędziego lub profesora uniwersytetu. W ogóle przedziwnie wyglądają ci ostatni panowie na szarym końcu.

O księciu — przyznaję — zapomniałem.

To będzie wszystko. Jeśli powyższe jest sprzeczne z czyimiś marzeniami o kształcie społeczeństwa — niechaj ma pretensję do swoich marzeń. A co najważniejsze — niech się nie przejmuje. To była zabawa, która niczego nie dowodzi i nic nie znaczy. I samokrytycznie na koniec przyznaję, że najlepiej jest... bawić się inaczej.

Belfer.

W XV ROCZNICĘ

W wyzwolonym Lublinie

Tekst: JERZY ŁAŃCUT
Zdjęcia: L. DUDLEY
W. PIOTROWSKI
WAF
S. WDOWIŃSKI

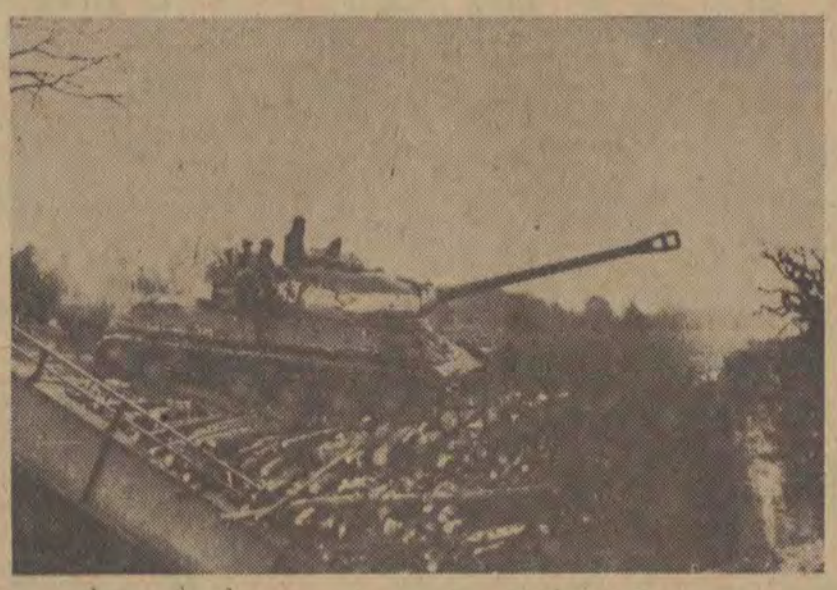

Na szlaku Lenino-Ojczyzna

W piętnaście lat później: pokaz sprawności bojowej

Ludzka pamięć nie lubi przechowywać złych wspomnień. Zacierają się koszmarne obrazy okupacji, lat wojny i frontów, zacierają się przeżycia i wspomnienia z dni marzeń o wolności.

Tę wolność przynieśli nam spod Lenino żołnierze. Walczyli o nią również w latach okupacji partyzanci w kraju, żołnierze polscy pod Tobrukiem, Monte Cassino, Falais i Narwikiem. Wszędzie, na wszystkich ziemiach, na których znaleźli się — żołnierze polscy walczyli z myślą o wyzwoleniu kraju.

Byliśmy wtedy myślą z nimi, życzyliśmy im zwycięstwa, czekaliśmy na ich przyjście. Mówiliśmy wtedy: „walczą o wolność ojczyzny".

A gdy ucichły ostatnie wystrzały, gdy zamilkły głuche wystrzały artyleryjskie i wybuchy bomb lotniczych, gdy codzienne troski pokojowego życia zaprzątają nasze umysły — jakże często tracimy z oczu tych, dzięki którym odzyskaliśmy radość tworzenia.

Przyzwyczajamy się często do zdania: „żołnierz stoi na straży". Tak często, że przestajemy się nawet zastanawiać nad sensem tego zdania. W wyobraźni wielu kojarzy się to zdanie z obrazem granicznej strażnicy, z żołnierzem, którego ręce ściskają automat, a wzrok utkwiony w bezkresną dal...

Były miesiące klęsk żywiołowych, była powódź. Saper ratował życie ludzi i ich dobytek. Lotnik zrzucał żywność i leki. Zdarzały się pożary lasów — żołnierz niósł ratunek zagrożonym obszarom. Wichury zerwały mosty, burze zniszczyły drogi — żołnierz je odbudowywał. Zabrakło rąk do pracy przy zbiorach — znów żołnierz niósł pomoc.

A lapidarna notatka prasowa kwitowała ofiarność, trud i wysiłek żołnierski: „oddziały wojska zyskały uznanie i wdzięczność całej okolicznej ludności..."

Różnie więc bywa z ludzką pamięcią...

Są daty, które radują, ożywiają wspomnienia, pobudzają do refleksji. Kartki z kalendarza codziennie przynoszą takie daty. Są jednak daty, które łączą uczucia wszystkich, przypominają marzenia z dni, w których poeta — żołnierz pisał:

„Piszę oto niniejsze podanie.
Na polach wojny drogą zwycięstwa
Jadą czerwonogwiezdne olbrzymy,
Podziwiam siłę, winszuję męstwa.
I widzę w myślach, jak razem walczymy,
Razem bijemy pruskiego zwierza.
Wspólne ramię wspólnie uderza.
Są dwie komendy: rosyjska i swojska...
...Proszę przyjąć mnie na żołnierza
Narodowego Polskiego Wojska!"

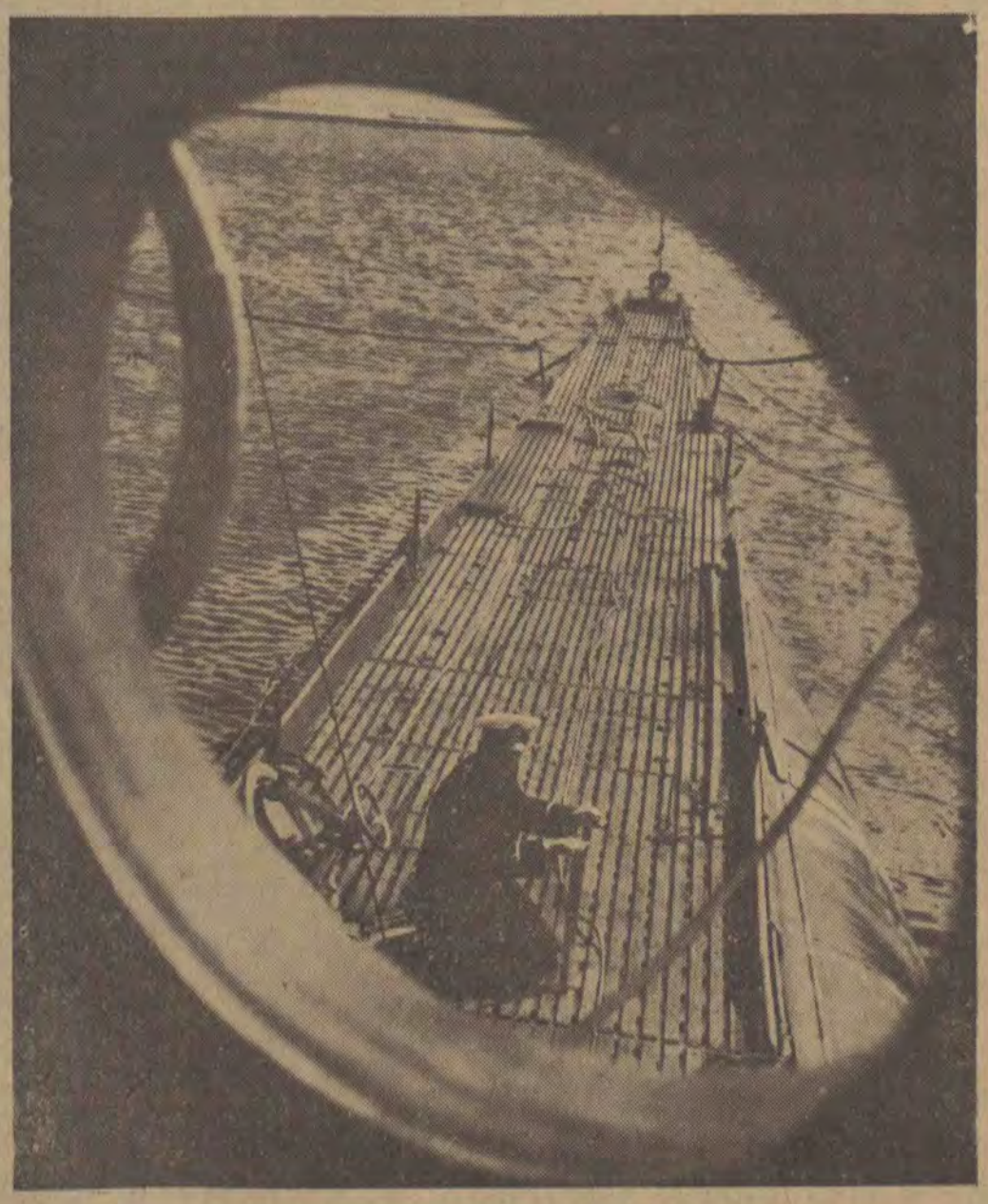

Są daty i rocznice, które przypominają chwile, gdy stojąc oko w oko z uzbrojonym okupantem, daremnie szukaliśmy broni, do której rwały się nasze ręce. I broń tę, radziecka broń, otrzymaliśmy wówczas w dalekim podmoskiewskim obozie wojskowym — w Sielcach nad Oką.

Z bronią tą poszliśmy w bój pod Lenino, broni tej skutecznie użyliśmy dla wspólnej rozprawy ze wspólnym wrogiem.

Taka kartka z kalendarza, łącząca uczucia wszystkich, taka rocznica, która staje się świętem całego narodu, jest 12 października.

Dzień, w którym polska dywizja, sformowana na ziemi radzieckiej, rozpoczęła zwycięską bitwę pod Lenino i swój triumfalny marsz do ojczyzny.

Dzień, który zapisał na kartach dziejów naszego oręża nowy rozdział: wspaniałej współpracy bojowej żołnierza w rogatywce z orłem piastowskim z żołnierzem radzieckim.

Dzień narodzin Wojska Polskiego, zbrojnej siły narodu, obrońcy jego praw i niepodległości, ofiarnego współtwórcy codziennego życia naszej ojczyzny.

Dzień, w którym na widok spotkanego żołnierza serca nas wszystkich, którzy dożyliśmy tej rocznicy, na pewno biją szybciej, goręcej.

Dzień, w którym znajdziemy przecież chwile, by wyrazić wdzięczność i uczucie tym, którym daliśmy broń do ręki, których wyposażyliśmy w najnowocześniejsze zdobycze techniki, aby mogli dobrze nieść swoją służbę.

Dzień Wojska Polskiego.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Dzielnej załodze K-16, K-19, K-13, tęgiemu a niskiemu sierżantowi z pogotowia, milicjantom z posterunku na Jaracza, którzy towarzyszyli mi w wędrówkach po mieszkaniach panienek, chorążemu foto-grafologowi (amantowi tej dziewczynki ze „Staromiejskiej"), porucznikowi, który nie mógł nam znaleźć Czarnego Jana ani żadnej meliny, nieznanemu z twarzy dyspozytorowi (kryptonim „kuter"), majorowi ze Śródmieścia, który brzękał kluczami i wszystkim milicjantom Łodzi i okolic kilka słów podzięki za szampańską noc. Do tego dwa życzenia: awansu i podwyżki składa niniejszym uroczyście z okazji Rocznicy Czternastej Powstania Milicji Obywatelskiej.

AUTOR

MOJA SZAMPAŃSKA NOC

Dzisiaj rano obudziwszy się spostrzegłem, że mam straszliwego kaca.

To nie był taki sobie zupełnie zwyczajny kac. Miał on wszelkie cechy piramidalności. Poza tym nic sobie nie mogłem przypomnieć. Pustka.

Taka pustka, luka, nicość jest uczuciem bardzo bolesnym. Męczyłem się odtwarzaniem wypadków: szedłem robić „materiał". Jaki? — Nie wiem. Grób. Mogiła. Co dalej? Nic właśnie. Zaczynałem więc da capo: poszedłem robić „materiał". Potem... luka jak słoń.

Spojrzałem. Na nocnym stoliku leżał mój reporterski notes. Pomyślałem — to jest rozwiązanie zagadki: jeśli coś tej nocy robiłem, to i coś notowałem.

Pierwsze dwie kartki były puste. Na trzeciej widniało kilka nazwisk i adresów. Coś około dziesięciu. Uderzyły mnie dwa fakty: po pierwsze wszystkie imiona poprzedzające nazwiska były damskie. Po drugie wypisane były nie moją ręką, ale jakimś obcym charakterem pisma. To pierwsze mówiło niby wiele... To drugie zasię nic.

Czy myślicie, że przyjemnie jest żyć człowiekowi, który taszczy za sobą gigantyczną lukę w pamięci?..

Postanowiłem dojść faktów owej niepamiętnej nocy. Kopnąłem się pod pierwszy z owej listy adres. Brzmiał on: Janina S... Albo raczej dajmy temu spokój. Temu — to znaczy podawaniu adresu. Młodzież szkolna też czytelnik.

A więc poszedłem pod wypisany adres. Pukam do drzwi. Pies szczeka. Pukam jeszcze raz. Pies ujada. Wreszcie otworzyła mi niewiasta: umalowana, w szlafroku, zębów brak, ale za to w klipsach.

— No, czego walisz? Nie otwieram, znaczy gościa mam.

Wyjaśniłem, że ja nic, że ja w ogóle (profesja gospodyni była już bowiem oczywista), że ja tylko jedno pytanie... po czym czym prędzej wyniosłem się.

Na tym ślad tajemniczej nocy urywał się, jako żem człowiek, bądź co bądź nobliwy, nie konfrontował dalszych adresów z tak zwaną rzeczywistością.

Może bym i ułożył się ze sobą, że nie będę pamiętał mojej nocnej niepamięci, gdyby nie rzecz ludzka, potrzeba zwierzeń. Dokonałem zwierzeniowej oblucji przed starym mym przyjacielem, funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej w stopniu starszego sierżanta. Sierżant, ziomek mój, wielce się sprawą zainteresował, wziął ode mnie notes powiadając, iż adresiki się komendzie przydadzą i za to obiecał pokazać mój notes milicyjnemu grafologowi dla ewentualnego zbadania, kto też to pisał.

Ekspertyza była do odebrania już po godzinie. Brzmiała jak następuje: „Pieczęć podłużna: Komenda Wojewódzka MO m. Łodzi, Laboratorium. Ekspertyza. Autorem przedstawionego mi tekstu jestem ja sam. Podpis: Leopold D. -chorąży".

Z krzesła nie spadłem, bom na niczym takim nie siedział. Pobiegłem do chorążego-grafologa. Zaczął on mówić. Skończył nieprędko. Zasię z tego, co padło tam między początkiem a końcem, wynikało, że milicja dobrze wie, co robiłem, w ciągu tych kilkunastu godzin. Zadziwiająco dobrze. I to minuta po minucie. Na dowód czego podam owo odtworzenie wypadków.

Ruszyliśmy o godzinie 17.00: kapral-szofer, chorąży grafolog i ja. Nasz radiowóz nosił kryptonim K-16. Baza, to znaczy Łódzka Komenda MO — zgłaszała się jako „kuter".

„Kuter, kuter? Tu K-16, tu K-16. Słyszysz mnie? Odbiór".

„K-16, K-16, tu kuter. Słyszę cię dobrze. Odbiór"

„Hallo, kuter, tu K-16. Ruszamy na trasę. Ruszamy na trasę z przedstawicielem prasy. Zgłaszaj ciekawsze wypadki. Odbiór".

„K-16, K-16. Tu kuter. Dobra".

Tak się zaczęło. Pijany nie byłem. Najwyżej widać było po mnie taką ociupinkę wypitą dla kurażu. (Skąd więc owa luka w pamięci: sięgała już tego czasu? Czy słyszał kto, żeby alkohol działał wstecz? A jednak...)

Głośnik w radiowozie zachrypiał o jednym pożarze. Pojechaliśmy. Był ogień, woda lała się z hydrantów Szopy drewnianej już właściwie nie było. Nic ciekawego.

Godz. 18. Stoimy i ziewamy.

Godz. 18.30. „Kuter" doniósł o rodzinnej „drace" na ul. Limanowskiego. Polecieliśmy „na syrenie" Przyjemnie, szybko, wygodnie, lewą stroną. Wszyscy ustępowali z drogi i myśleli pewnie, że kogoś zamordowano.

Oficyna. Tłum sąsiadów w oknach. Wrzaski z mieszkania na parterze. Wraz z nami przyleciał tu K-13, kuzynek naszego milicyjnego radiowozu i też podopieczny „Kutra".

W środku on i dwie one. One szokują nieco podartymi sukniami, on — ich rycerz, ma rozciętą głowę flaszką. Związany jest jak baran. Wszyscy pijani. O co poszło? — nie wiadomo. Kto kogo bił? — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że rodzinka prowadzi stragan z owocami, no i trochę sobie popiła.

Kobiety krzyczą: „To alkoholik, zboczeniec! Antabus je! Oo! Ten antabus!" On zaś milczy, jest pokrwawiony, grzeczny i układny. Zabieramy jednak jego: nie ma damskiej izby wytrzeźwień.

Po drodze zgarniamy jeszcze jednego amatora snu na trotuarze. Jest zupełnie sztywny. Nie reaguje na działania trzeźwiące. Posadzony na siedzeniu natychmiast opada nam pod nogi, na podłogę i tak już zostaje.

Nasz drugi pasażer w Izbie Wytrzeźwień ściągnął z siebie co było do ściągnięcia, poddał się bez oporu wodnym zabiegom. Dziwne, gdyż kolor jego ciała wskazywał, że woda nie była zbyt bliskim mu żywiołem. Wytarł się, wciągnął pidżamę, uśmiechnął się wdzięcznie, odetchnął pełną piersią, rozejrzał wokoło.

— Łale tu cicho!

Pokiwaliśmy głowami z pełnym humanizmu zrozumieniem człowieka.

Tymczasem nadjechał transport. Ściślej — ciężarówka, którą każdej nocy spotkać można na placu Komuny Paryskiej. Tam milicja i pogotowie zwozi tych, co „urżnęli się w trupa", rozrabiają, sypiają na świeżym powietrzu, dokonują głośnej wymiany zdań ze ślubnymi małżonkami lub osobami postronnymi, tych których wykopano na bruk z knajpy.

Czasami po dobrej woli zgłaszają się tu ochotnicy, którzy wolą przytulne łóżko Izby Wytrzeźwień od czułego wałka od ciasta na własnej głowie. Gdy zbierze się już jaka taka gromadka, ciężarówka rusza do Izby.

Dzięki transportowi, który właśnie przybył — towarzystwo nasze wzbogaciło się o jednego śmieciarza, jednego „naukowca" z WSE, jednego robotnika budowlanego, jednego urzędnika i kilku mniej godnych zanotowania indywidualności. Ciało obywatela, który był grzał nam nogi w samochodzie przeniesiono z kozetki na łóżko. Nowy transport zasię dokonywał ceremonii rejestracji i prezentacji.

Mowa śmieciarza: „Wódki nie piję. Nigdy! Nigdy! Nigdy! Winko piję, panie kierowniku. Co zbiorę, odniose. Człowiek jestem! Mam prawo żyć Mam prawo. Jestem człowiek? Jestem człowiek? Dostanę troszkę wody pić? Dostanę troszkę wody pić?"

Ceremonia ubierania i rozbierania w pidżamy nastraja pensjonariuszy na ogół filozoficznie. Jest to filozofia pełnej szczęśliwości i pogody ducha, której to, od czasów Colas breugnon i ze świecą nie znajdziesz w słowie drukowanym. Rad bym przeto widzieć w Izbie Wytrzeźwień studentów fakultetu filozofii odbywających tu swe naukowe seminaria.

Tymczasem z sal, wypełnionych szeregami białych łóżeczek dobiega potężne, miarowe chrapanie, wskazujące wyraźnie, iż pod czułą ochroną pielęgniarzy nie znajduje się pensjonat dla panien z dobrego domu.

Rozmawiam z kierownikiem Izby.

— Duży ruch?

— Duży.

— No, jakoś nie widać.

— Poczekaj pan, dopiero ósma. Robota zacznie się po jedenastej. Dziś pierwszy. A w każdy dzień wypłaty klientów nam nie brakuje, tylko łóżek.

— Ile ich jest?

— 42.

Właściwie jest tu pusto. Z nudów namawiam jakiegoś „kozaczka" doprowadzonego do Izby Wytrzeźwień, aby zaprowadził nas do meliny, w której kupił wódkę. „Kozaczek" jednak za żadną cenę nie chce być „kapusiem". Nie ma zupełnie nerwu donosicielskiego, raczej publicystyczny:

— Te zarządzenia z tą sprzedażą to tylko melinom klientów napędzają. Taka frajerskość tej władzy.

— Wyrzucić by z tego te, „te, tego, tej" i reszcie przyklasnąć. Dlaczego nie sprzedają, skoro i tak nie ma w Łodzi jednego dnia w miesiącu przeznaczonego na wypłatę? Przecież w różnych instytucjach różnie to wygląda!

Ruszamy znowu „Warszawą" w Łódź. Chorąży-grafolog każe się wieźć pod „Staromiejską". Umówił się z dziewczyną nie wiedząc, że będzie miał taką, psiakrew, prasowo-nocną służbę. Dziewczyny nie daje się wsadzić do radiowozu. Jakieś regulaminy czy coś.

Chorąży-grafolog zatrzymuje wóz. Ulicą idzie jego kolega. Mruga znacząco, jak gdyby miał w kieszeni wódkę. Adresu ujawnić nie chce. Bo gdzie na przyszły raz kupi? Dajemy słowo honoru, że my tylko na zakupy. Gość daje nam adres. Zanim jednak dojechaliśmy do meliny — już była zamknięta. Pewno szef na weekend wyjechał.

I znowu nasz kochany „Kuter": „Nic ciekawego, nic ciekawego. Pamiętam o was. Będziecie mieli jeszcze co oglądać. Na razie macie na placu Komuny kilku delikwentów".

Delikwent to w eleganckim języku milicyjnym gość zalany w pestkę. Po prostu bela, kloda, trup. Trzeba mieć siłę Herkulesa„ żeby władować taką przelewającą się przez ręce kłodę na górę do „Lublina". Potem nerwy samej Minerwy, żeby wydobyć z takiego faceta personalia.

Próbuję się dogadać z jednym, który w odróżnieniu od trzech innych jeszcze trzyma się na ławce.

— Panie S., żonę pan masz?

— Mam żonę, naturrralnie.

— A dzieci pan masz?

— Czworo mam dzieci, naturralnie.

— Co mam powiedzieć panie S. pańskiej żonie?

— Oj, panie władza, nic nie mówić, nic nie mówić...

A ot i pani S. we własnej koszuli nocnej.

— Ja daję mu pieniądze i wypędzam na wódkę? Dziecko mi świadkiem, Bóg mi świadkiem, cała kamienica świadkiem, że łże świnia! Daje do domu 600 złotych, uchlewa się i jeszcze coś takiego.

— A ile pani mąż zarabia?

— 1200.

— I daje pani tylko 600, a pani bierze tylko 600?

— A co ja poczne, szanowny panie? Całe życie się męczę. Ręce w fabryce urabiam, dzieci chowam, kartofli i węgla na zimę nie mam, a taki puszcza forsę i ubliża człowiekowi.

— To dzisiaj po wypłacie, czy tak częściej?

— On dziesiątego ma wypłatę, dzisiaj rodzinne, ale koleżków co dzień.

— A jak go pani przyjmie, kiedy wróci z Izby Wytrzeźwień?

— Niechaj odszczeka tylko co panom nagadał. Ja mu na wódkę nie daję, ja słyszał kto, coś takiego? Niechaj odszczeka, bo inaczej...

— Bo inaczej?

— Bo inaczej dłużej z nim nie wytrzymam...

„Kuter, Kuter tu K-16. Włączamy się. Byliśmy w domu przy Wólczańskiej. Po awanturze spokój. Podaj nam adres nowej awantury. Odbiór".

„Tu Kuter, tu Kuter. K-16, K-16. Nie mam dla was żadnej awantury. Spokój. Spokój. Odbiór".

Godz. 22.30. Na horyzoncie jeden pijak, ale jakby zapadł się pod ziemię.

„K-19, K-19. Mówi K-16. Obiecałeś pokazać prasie melinę".

„K-16, K-16. Zrozumiałem. Potem, potem, na razie odstawiamy jeszcze jednego delikwenta. Odbiór".

Jaki znowu odbiór? Czego odbiór?

Stolik za stolikiem
za stolikiem stolik
a za tym stolikiem
siedzi alkoholik.

To nie melina, tylko elegancki SIM. Stolik za stolikiem, za stolikiem stolik. Tango lwowskie ciągnie na skrzypkach i zaśpiewuje mistrz Krochmalski, ale rzadko gdzie za stolikiem siedzi alkoholik.

— Mały ruch, mały utarg, panie kierowniku, co?

— Ano mały. Nie to co dwa lata temu.

— Zakaz sprzedaży wódki w dzień wypłaty?

— Bez znaczenia. Już po dwunastej, a bufetowa, i kelnerzy, jak pan widzi, stoją... Dawniej pierwszego utargowało się 30 tysięcy. Dzisiaj piętnaście to jest i tak dużo.

— Mniej się ludzie bawią. Grzeczniej?

— Ano jakoś...

„K-19, tu K-16. Tu K-16 Pokaż nam melinę. Pokaż nam melinę. Odbiór".

Nie ma odbioru. Nie ma K-19. K-19 mogłoby spać spokojnie, chociaż gdzieś jest, gdzieś nie śpi, a co najwyżej robi kurs z jednym delikwentem do Izby Wytrzeźwień.

„Kuter, Kuter, mówi K-16. Dajcie nam coś. Jakieś włamanie, kradzież, morderstwo. Odbiór".

„K-16, K-16. Zrrrozumiałem. Nic ciekawego, nic ciekawego. Odbiór".

Jest odbiór, ale nie ma włamań, nie ma kradzieży, nie ma mordu. Pozostaje Izba Wytrzeźwień.

Jest też godzina zwarta nad ranem. Po mieście krąży kilkanaście radiowozów. Niektórym z nich udaje się jeszcze złowić jakiegoś pijaka. Innym już nie. K-19 na trasie i K-13 na trasie i w ogóle dużo tych K na trasie. Nic się nie dzieje.

Istnieje w literaturze opowieść o lekarzu, który pojechał do wsi dla trędowatych leczyć ludzi. Tam się zestarzał, w czasie tego starzenia się wszystkich wyleczył i jest szczęśliwy, bo osiągnął życiowy sukces i nieszczęśliwy, bo czuje jakiś bezsens swego trwania.

Tej nocy milicjanci rozjeżdżają się po mieście z minami takiego lekarza.

To jest irytująca sytuacja. Powiadają — a niedawno jeden pętak za pieniądze państwowe napisał, że Łódź to dżungla, piekło, chuligani, bandyci, prostytutki i złodzieje. W ogóle tylko krzyczeć ratunku.

A tu noc, a tu już świt. Jeżdżą milicyjne radiowozy. Flirtują ze swoim „Kutrem" i za chińskiego boga, za cholerę — nic, nic się nie dzieje. Spokojne miasto.

W komisariacie Śródmieście nastrój rodzinny. Przyprowadzono cztery prostytutki. Biły się. Przed chwilą jedna próbowała sobie przeciąć żyły. To ich ulubiony sport. Milicjanci znają je wszystkie. Toczy się między nimi i dziewczynkami życzliwa, rzeczowa rozmowa o zarobkach, jakiejś Krzywej Kaśce, która nie wyjdzie już ze szpitala, o tym czy jakiś Czarny Jan jeszcze siedzi czy już wyszedł... Jedna histeryzuje. Druga podryguje i śpiewa. Miło tu.

Dzwonię do komisariatów.

— Zdarzyło się coś?

Staromiejska — nic.

Ruda — nic.

Bałuty — nic i tak dalej.

Wreszcie Ruda zawiadamia, że złapano czternastoletniego chłopca, który uciekł z Domu Dziecka.

Na bezrybiu i chłopiec sensacją. Jedziemy. Z sensacji nici. Chłopiec nie chce mówić, nie uważa nas za godnych partnerów do pogawędki.

To byłoby wszystko. Tyle z naszej wyprawy zapamiętał chorąży-grafolog, czyli po ludzku mówiąc Poldek. Wie on jeszcze, że byłem zrozpaczony, iż nic się nie dzieje i po całonocnej włóczędze wracam bez materiału. Pamięta też, jak mówiłem, że przed laty mój amerykański kolega po piórze wywołał wojnę na Kubie, aby tylko dać materiał do gazety i że kazałem się wieść do meliny pijackiej, której adres dostaliśmy w końcu od takiego „kozaczka" — pensjonariusza Izby Wytrzeźwień. Tu wysiadłem i więcej mnie nie widział.

Resztę materiałów z przebiegu owej nocy uzyskałem w komisariacie milicji. Były to akta dochodzenia dojrzałe już do przekazania prokuraturze.

Oto spokojnej tej nocy powypłatowej już późno, nad ranem, do komisariatu napływać jęły meldunki. Na Wólczańskiej dokonano włamania do sklepu. Na Piotrkowskiej rozbito kiosk, na Tuwima pewien osobnik rzucił się z nożem na kobietę, a gdy ta uciekła krzyczał, żeby chwilę poczekała, bo on musi kogoś zamordować. W Miejskiej Radzie Narodowej wybito szyby, a na placu Wolności ktoś głośno odgrażał się pomnikowi Kościuszki nie bacząc na to, iż od wielu lat pomnika tam nie ma.

W miejsca wypadków pospieszyły radiowozy: K-16, K-19, K-13. Rozpytując przechodniów załogi radiowozów ustaliły, że rysopis człowieka, którego widziano przy dokonywaniu przestępstw i wykroczeń jest ciągle ten sam: wysoki, młody szatyn w zielonkawym, modnym płaszczu z brązową teczką, w sztok pijany.

To był mój własny rysopis.

Pojmano mnie na Głównej w czasie gdy majstrowałem coś przy bańce z mlekiem. Złapała mnie obsługa radiowozu K-16. O efekcie poszukiwań zawiadomiono „Kutra". Dostawiony zostałem do Komendy MO Śródmieście. Powitano mnie tu życzliwie — jako starego znajomego, który pisać ma o pracy milicji. Na dechy nie poszedłem, bo było przepełnienie. Zresztą... Wiedzieli, że nie ucieknę. Nogami już, że tak powiem, nie władałem. Odstawiono mnie do domu.

Tak więc finał nocy bogaty był wreszcie w wydarzenia: próba mordu, włamanie, awantura, zakłócenie spokoju nocnego i tradycji narodowej, profanacja bańki i pomnika, nie licząc opilstwa, oporu władzy i innych detali.

Mam co pisać. Zamieszczę jeszcze sprawozdanie z mojego procesu. Liczę na okoliczności łagodzące: przestępstwo na tle gorliwości w pracy i życzliwe zeznania świadków milicjantów z dzielną załogą „K-16" na czele.

Dziś szczęśliwie, z owej szampańskiej nocy powypłatowej, kiedy „nic się nie działo" pozostała miast czarnej niepamięci serdeczna (żółta w białe ciapki) pamięć o miłych chłopcach milicjantach oraz dziesięć adresów skreślonych życzliwą ręką chorążego-grafologa, które zdrowo Bóg da, służyć mi będą przez lat wiele — a w długowieczność kochanych łódzkich panienek dufając jeszcze i memu jednorocznemu dziś synowi.

Z bojowym hasłem „Kuter! Kuter! Tu K-16. Dobranoc. Odbiór" — kreśli się wdzięczny

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

OSKAR LINDAY

UWAGA, SZPIEG!

Zadziwiające jest, jak przeciętny człowiek w Polsce mało wie o działalności „podziemnych armii" — wywiadu. Zdziwienie autora wyglądałoby zapewne na paradoks (wszak to wywiad przecież jest sanktuarium owego mistycznego niemal: „ściśle tajne!"), gdyby nie fakt, że na Zachodzie sprawa militarnego i politycznego znaczenia wywiadu jest przedmiotem nie tylko jawnych i zupełnie poważnych rozpraw naukowych, ale również... ogłoszeń w prasie, zamieszczanych przez centrale wywiadowcze i nawołujących do wstępowania w szeregi „cichociemnych", z podaniem długiego wykazu cech, dyspozycji i warunków wymaganych do takiego zaangażowania...

Fakt, że we współczesnym świecie wywiad awansował do roli jednej z najpoważniejszych sił militarnych i politycznych, że jego ściśle zakonspirowana działalność ma charakter totalny, że każdy może się z nią zetknąć, że wreszcie konkretnie społeczeństwo polskie żyje w strefie geograficznej, którą gen. Paul Jacquot, jeden z „atlantyckich" dygnitarzy, nazwał po prostu „strefą wzmożonej działalności wywiadowczej" — te fakty nie powinny być dla nas obojętne.

W cyklu artykułów, relacji i dokumentów historycznych z działalności wywiadu, jaki podejmuje „V kolumna", Czytelnik znajdzie nie tylko sensacyjną lekturę, ale również rzetelną wiedzę poznawczą, pozwalającą zapobiec przypadkom, które... chodzą po ludziach. I które najczęściej kończą się smutnie. Bez tych bowiem smutnych przypadków nie byłoby najprawdopodobniej historii szpiegostwa — galerii zgasłych gwiazd...

Jedną z metod, jaką wywiad posługuje się od dawna i wciąż skutecznie, jest szantaż. Zilustrujmy tę metodę na wydarzeniu zupełnie autentycznym i nie tak starym. Zachowamy wszakże ścisłą anonimowość czasu, miejsca i osób.

Inżynier T. kończy pracę nad nowym, rewelacyjnym rozwiązaniem konstrukcyjnym. Pracownią inżyniera już od dawna interesuje się rezydent obcej centrali szpiegowskiej — sam kieruje działaniem doskonale wyszkolonego agenta, który jest etatowym szoferem pracowni inżyniera. Zasłyszane urywki rozmów potwierdzają wagę prac i ich duże znaczenie dla przemysłu zbrojeniowego. Wywiad postanawia wykraść wynalazek.

Techniczne wykonanie postanowienia nastręcza jednak duże trudności. Szofer-agent jest już wprawdzie w posiadaniu kopii kluczy do kasy pancernej pracowni, zna doskonale technikę reprodukcji fotograficznej i sam posiada dyplom inżyniera mechanika, ale fakt, że pracownia znajduje się na terenie prywatnej willi inżyniera, gdzie zawsze ktoś przebywa, przekreśla możliwość sfotografowania dokumentów bez poważnego ryzyka kompromitacji.

W tej sytuacji rezydent decyduje się na próbę akcji okrężnej przez „osobę inspirowaną". Centrala wywiadu dostarcza dokładnych danych o niejakim kapitanie C., aktualnym funkcjonariuszu policji śledczej w miejscowości, gdzie mieszka inżynier. Kapitan C. popełnił w swoim czasie drobne przestępstwo, które nie zostało ujawnione.

Następnie w gabinecie kapitana zjawia się obcy człowiek legitymujący się dowodem osobistym i stałym miejscem zamieszkania i składa formalne doniesienie przeciwko inżynierowi oskarżając go o sprzeniewierzenie poważnych sum. Kapitan wdraża dyskretne śledztwo, oczywiście nia dające rezultatu, jakkolwiek fakty stanowiące osnowę doniesienia, a mówiące o trybie życia inżyniera zdają się potwierdzać... W tym czasie kapitan otrzymuje anonimowy list podtrzymujący zarzuty doniesienia i zawierający ponadto pogróżkę: „W tej sprawie ktoś musi być aresztowany. Albo pan — za takie i takie przestępstwo popełnione osiem lat temu, albo inżynier... Do pana należy wybór, kto z was dwóch zostanie aresztowany".

Kapitan C. nie waha się długo. Już od kilkunastu dni uruchomił swą komórkę śledczą w najlepszej wierze, starając się znaleźć potwierdzenie skandalicznych zarzutów. Jakkolwiek po otrzymaniu anonimu jest przekonany o niewinności inżyniera, to jednak zrozumiał, że komuś zależy na skompromitowaniu tego człowieka i że stawką tego jest najbardziej osobisty interes kapitana. Ponadto zebrane materiały stwarzają nikłe wprawdzie, ale realne podstawy do kategorycznej decyzji... Inżynier zostaje aresztowany.

Wieść o aresztowaniu obiega natychmiast wszystkich współpracowników inżyniera. Tego dnia kapitan C. otrzymuje następny anonim. Jego autor uważa, że satysfakcja, jaką otrzymał jest wystarczająca i inżynier może być zwolniony po 24 godzinach. W tym czasie jednak kilku funkcjonariuszy tajnej policji przeprowadza w mieszkaniu i pracowni inżyniera gruntowną rewizję. Współpracownicy i domownicy nie wiedzą, że „tajniacy" interesują się tylko planami nowych konstrukcji i skrupulatnie je fotografują. Kapitan C. otrzymuje jeszcze jeden list: „rewizja została przeprowadzona w pracowni oczywiście na pana polecenie".

Akcja się udała. Dokumenty wykradziono, zrehabilitowany inżynier wrócił do pracy, kapitan utrzymał tajemnicę swego przestępstwa.

Coś tu jednak nie jest w porządku. Oczywiście. Ze wszystkich biernych sób tej akcji, jeden tylko kapitan zorientował się od razu do czego został użyty. Jego przestępstwo stało się stokroć poważniejsze. Wywiad postanowił to wykorzystać już w trzy miesiące później — uważał go za całkowicie swojego człowieka. Tym razem jednak zawód był zupełny. Kapitan zdekonspirował się przed swoimi władzami i pomógł ujawnić część szpiegowskiej siatki.

I jeszcze jeden „as" przeszedł do historii wywiadu...

Przedstawiamy Czytelnikom cykl opowiadań i reportaży obejmujących całokształt ostatniej, egipsko-izraelskiej wojny. Wojna ta nie „odleżała się" jeszcze w historii i wiele wniosków autora może być przyjmowanych ze zdziwieniem... Nie bez kozery Edward Castel już w pierwszym odcinku wprowadza do akcji Francuza i Anglika. I nie bez kozery przedmiotem ich rozmowy jest historia przechwycenia akcji suezkich przez Wielką Brytanię...

EDWARD CASTEL

WOJNA O SUEZ (1)

— Pieniądze, drogi kapitanie, pieniądze — to jedyne, co się liczy. No i oczywiście odpowiednia doza sprytu, umiejętności ich użycia. Tym się wygrywa wojny, zanim jeszcze się zaczęły. A przecież ani jednego, ani drugiego nam nie brak. Więc spokojnie — podtrzymuję moje zaproszenie: za dwa miesiące od dziś u mnie, w Paryżu. Ten Tel-Aviv to wprawdzie całkiem niezgorsze miasto, i dziewczynki też niczego sobie, ale... Nie zna pan Paryża?

Burton podniósł do ust szklankę gin and lime, żeby ukryć zmieszanie. Lubił tego Francuza, poznanego przed tygodniem na okręcie, gdzie on, Burton, był wówczas gościem, i to gościem honorowym, reprezentującym RAF — Królewskie Siły Powietrzne. Raził go jednak stale niemaskowany cynizm komandora i ironiczny uśmiech, który zdawał się mówić: i ty, mon vieux, nie jesteś w gruncie rzeczy takim aniołkiem, za jakiego pragnąłbyś uchodzić — również przed samym sobą. Raził — i budził niepokój.

— Nie, nie byłem w Paryżu. Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Zaproszenie przyjmuję oczywiście z radością, obawiam się tylko, że za dwa miesiące i pan, i ja, będziemy robili coś zupełnie innego. Ale to jest w ręku bogów. Czy nie sądzi pan jednak, że rolę pieniądza zdecydowanie pan przecenia? Obaj jesteśmy żołnierzami — pan na morzu, ja w powietrzu — i czy nie do nas właśnie należy ostatnie słowo?

Lefebvre uśmiechnął się. — Tak, obaj jesteśmy żołnierzami. I obaj jesteśmy w Izraelu. I obaj wiemy, że ten skrawek pustyni będziemy osłaniali przed... inwazją — tu uśmiech jego stał się bardziej niż zwykle ironiczny. — Pan przed inwazją z powietrza, ja — z morza. Ale to niczego nie dowodzi. A propos, czy pan pamięta, w jaki sposób pańscy ziomkowie zdobyli kontrolę nad kanałem, który, przyzna pan przecież, jest dziełem francuskim?

— Pojęcia nie mam. W historii nigdy nie byłem mocny. Podkreśla pan rolę pieniądza, więc nie chodzi chyba o działania wojskowe, w których oczywiście trochę się orientuję.

— Zgadł pan. Właśnie o rolę pieniądza. Pieniądza, który umożliwił wykupienie 177.000 akcji kanału, a więc 44 procent wszystkich akcji. Historia jest ciekawa, i chętnie ją panu opowiem na potwierdzenie mojej tezy. I tak mamy sporo czasu, na miłość jest jeszcze za gorąco. Proponuję też, byśmy dali spokój pańskiemu gin and lime i napili się uczciwie wina — podobno braciszkowie z Latrun wyrabiają całkiem niezłe, warto by spróbować. Garcon!

— Działo się to chyba w roku 1875 — ciągnął komandor po chwili dalej. — Brytyjski minister spraw zagranicznych, lord Derby, dowiedział się przez działającego w Egipcie bankiera, że wicekról Egiptu, Ismail Pascha, jest w tarapatach pieniężnych i gotów byłby swój udział w Kanale Sueskim — właśnie te akcje, o których mówiłem przedtem — zastawić, a może nawet sprzedać. Pertraktacje z bankami egipskimi i francuskimi miały się jednak jakoby przeciągać, a Chedyw *) nie może czekać, gdyż potrzebuje pieniędzy natychmiast.

Wasz ówczesny premier Beniamin Disraeli zrozumiał z miejsca, jaka okazja się nadarza. Za cztery miliony funtów szterlingów zdobyć kontrolę nad kanałem! Ale właśnie te cztery miliony funtów! Minister skarbu Northcote i lord Derby widzą trudności. Parlament nie ma sesji, a przecież takiej olbrzymiej sumy nie można wykroić z budżetu, trzeba ją pożyczyć.

Posiedzenie gabinetu było burzliwe — i niezwykle. Disraeli nie używał, jak to leżało w jego zwyczaju, kwiecistych zwrotów — podawał cyfry, rachował. Minister wojny i minister handlu popierają go. Ale Northcote pyta: — A kto weźmie na siebie odpowiedzialność za to, że zaciągniemy pożyczkę bez wiedzy parlamentu?

Disraeli ma już siedemdziesiąt jeden lat, ale jego sylwetka, kiedy się teraz prostuje, jest nadal młodzieńcza. — Ja biorę za to odpowiedzialność, ja sam. Dajcie mi, panowie, tylko wolną rękę!

— A skąd, Dizzy, weźmie pan pieniądze? — pyta Northcote i uśmiecha się pobłażliwie. — Ja pieniędzy nie mam.

— Ale ja będę je miał — odpowiada Disraeli i śpieszy do drzwi, otwiera je, wychyla głowę i wymawia jedno tylko słowo — „Yes!".

Za drzwiami, przed dużą salą posiedzeń gabinetu, od przeszło dwóch godzin czeka sir Montagu Corry, jego sekretarz osobisty.

W kwadrans później Corry rozmawia z bankierem sir Lionel Rothschildem w jego gabinecie. Rozmowa jest krótka, składa się tylko z czterech zdań:

— Premier potrzebuje natychmiast czterech milionów funtów.

— Jaka gwarancja?

— Rząd brytyjski.

— Dostaniecie pieniądze.

Tego samego dnia Disraeli pisze królowej: „... cztery miliony funtów... tylko Rothschild mógł to zrobić... bardzo niski procent... cały udział Chedywa jest w Pani rękach, Mylady".

No i transakcja zostaje sfinalizowana. Chedyw otrzymuje od razu milion funtów, pozostałe trzy miliony w ciągu kilku miesięcy.

„Bardzo niski procent" wynosił pięć od stu. Oprócz tego sam Rothschild otrzymał dodatkowo dwa i pół procent. Dla niego nie był to w żadnym razie zły interes. A dla was — chyba też nie.

Lefebvre podniósł kieliszek. — I to wino nie jest złe. Pańskie zdrowie.

Burton milczał. Historię tę słyszał po raz pierwszy. Zbudziły się w nim refleksje. A więc akcje kanału włożył w ręce dumnego Albionu... Rothschild. A może trudności, które wynikły przy pertraktacjach Chedywa z bankami egipskimi i francuskimi, nie były takimi sobie zwykłym, trudnościami? Może i tym ktoś kierował? A te tarapaty pieniężne Ismail Paszy, natychmiastowa potrzeba pieniędzy?

Podniósł wzrok. Lefebvre napełniał kieliszki.

— Nie, bardzo dziękuję. Na mnie już czas. Mam jutro ciężki dzień, o świcie patrol w głąb pustyni, czuję wprawdzie w kościach, że będzie Chamsin **) i nie polecę, ale, w każdym razie, muszę się przygotować. Wopy ***) nauczyli się dobrze maskować stanowiska, a przy szybkości, z jaką lecę, diablo trudno się zorientować.

(c. d. n.)

Premier Disraeli w karykaturze

*) Chedyw — urzędowy tytuł (1845—1914) wicekrólów egipskich.

**) Chamsin — wiatr pustynny.

***) Wopy — pogardliwa nazwa Egipcjanina, używana przez Anglików.

- Ciekawostki
- Encyklopedia
- Odpowiedzi

„INTELLIGENCE SERVICE" I GIEŁDA. Dzień 30 maja 1916 roku, pierwszy dzień bitwy „Jutlandzkiej", największej bitwy morskiej I Wojny Światowej. Bilans tego dnia nie rokuje dobrych nadziei Brytyjczykom. Ponure relacje przeciekają do prasy. Dzienniki angielskie ukazujące się następnego dnia wyrażają się co najmniej powściągliwie. Dzienniki niemieckie ogłaszają wielkimi tytułami zwycięstwo. Dzienniki za oceanem trąbią na alarm...

Dzień 31 maja. Szanse gwałtownie odmieniają się. Flota angielska wprawdzie nie rozbija przeciwnika, w każdym razie zmusza go do odwrotu. Ale...

Ale, o dziwo, prasa angielska nadal utrzymuje żałobny ton. Dzienniki nowojorskie zapowiadają upadek Imperium Brytyjskiego. Akcje angielskich przedsiębiorstw wykupione przez Amerykanów i zdeponowane w nowojorskich bankach spadają na łeb na szyję. Na giełdzie nowojorskiej notuje się je w wysokości 10 — 20 proc. nominalnej wartości.

I wówczas znajdują się dość naiwni, którzy masowo bez targu wykupują oferowane przez maklerów akcje...

Dzień 1 czerwca. Cała światowa prasa składa hołd angielskiemu zwycięstwu na morzu. Przepraszają ponadto za wczorajszą omyłkę...

W ten sposób brytyjski wywiad wojskowy „Intelligence Service", pracujący na „własnym rozrachunku", wprowadziwszy świadomie w błąd prasę wykupił za bezcen akcje wartości kilkuset milionów dolarów.

To się nazywa robić interesy!

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

ROZMOWA Z REYMONTEM

Najdowcipniejszy niegdyś za mych lat młodocianych człowiek w całej Polsce — a może i nie tylko w Polsce — Franciszek Fiszer, o którym pamięć żyje dotychczas, wskrzeszana piórem i znakomitym zwłaszcza ołówkiem Zaruby — po stracie pokaźnego majątku swojego mieszkał przez jakiś czas u mnie. A dodam tu nawiasem, że nie był on krewnym znanego acz wówczas w Warszawie księgarza tak zwanego Lunia Fiszera, lecz wnukiem czy bodaj już prawnukiem generała Fiszera z kościuszkowskich czasów.

Ten przeto, i przez Boya cytowany, Fiszer pewnego dnia — lub ściślej mówiąc pewnej nocy, bo dnie ów Franc przesypiał — powróciwszy z kolacji u Reymontów przyniósł jakąś świeżo wydaną książkę tego wtedy nie tak jeszcze głośnego jak później pisarza, na której mu autor wypisał taką oto szumną dedykację:

„Franciszkowi Fiszerowi, twórcy metafizyki polskiej".

Jaka to była książka, już dziś nie pamiętam; może powieść „Wampiry", bo wydaje mi się, że to właśnie w owych czasach powiadano, że jakąś powieść Reymont napisał był pod wpływem swych rozmów z Fiszerem.

Tę książkę czytał Fiszer nazajutrz — długo czytał — potem już niecierpliwie tylko przewracał kartki — wreszcie zniecierpliwiony odrzucił ją z niechęcią.

— Taak — zahuczał swym basem — to doskonały pisarz, tylko że cóż, to przecież niebotyczny nieuk!...

— Kto? — spytałem umyślnie, niby to nie wiedząc, kogo ma dotyczyć ta po fiszerowsku dosadna definicja.

— Któż by jak nie Reymont? — odhuknął Franc Wspaniały. — Muszę ja mu w końcu bez ogródek powiedzieć, żeby pisywał sobie o czym mu się żywnie podoba, byle tylko nie o filozofii. Bo ten jego ostatni twór to, diabli wiedzą, jakaś nieznośna miszkulancja mistyki, spirytyzmu i wprost skandalicznie nieudolnych próbek filozofowania. Coś oburzającego!...

Ja wtedy oczywiście zacząłem mu odradzać, żeby tego tematu z Reymontem nie poruszał, bodajby ze względu na tak bardzo pochlebną dla siebie dedykację. Obawiałem się zresztą, że gotów mu wypalić: „Idiota pan jesteś!" i niepotrzebnie straci wyborne kolacje.

Bo gdy o filozofię chodziło, to Fiszer — ten „najmetafizyczniejszy z żarłoków", jak o nim z przekąsem mawiali ci, których dowcipem swym zadrasnął — nie był skłonny do ustępstw nawet wobec ludzi, którzy go tak karmili jak pani Reymontowa., Fiszer i ją mi kiedyś określił lapidarnie, choć raczej z uznaniem:

— Rodem kurka czubata, ale zresztą miła, dobra żona i kuchnię ma, że palce lizać!

A na tym Fiszer znał się — jego smakoszostwo i apetyt były między znajomymi głośne.

Wówczas więc mówił dalej:

— Możesz mi wierzyć: Reymont jako pisarz — dobry... Wydobył od kolei trzydzieści tysięcy za katastrofę, w której na szczęście nie ucierpiał — i to się dobrze stało. Obiegorek też z czasem, jak Sienkiewicz może od narodu dostanie, bo patriotycznie pisze... Oby!... będzie się jeszcze lepiej potem jadło u nich. Ale co filozofia i w ogóle jakieś oderwane myślenie — to zgoła nie dla niego: zadziwiające rzeczy, jak mało trzeba umieć, aby dobrze pisać!... Oczywiście „idiota" mogę mu nie powiedzieć, bo głupi on nie jest; metafizykę mu jednak stanowczo odradzę.

Widząc, że nic nie wskóram, rozmowę tę przerwałem; a dla przeciwdziałania postanowiłem raczej poznać się sam z Reymontem. Wkrótce potem w kawiarni przedstawiłem mu się i ostrzegłem go niby to żartem o groźnych zamiarach Fiszera, co przyjął dość życzliwie. Poza tym jednak moja znajomość z Reymontem nie wychodziła nigdy z granic czysto zdawkowych grzeczności towarzyskich. Był owszem sympatyczny — żywy i bystry, wcale dowcipny, spostrzegawczy, doskonały kompan... Ale cóż mógł obchodzić mnie wówczas— i do śmierci zresztą — lewicowca-rewolucjonistę — ten pisarz prawicowy, o którym wiedziałem, że był przyjacielem Romana Dmowskiego, najzaciętszego wroga rewolucji w Rosji, a już tym bardziej w Polsce. Ani mi w myśli nawet nie postało wówczas, że będę miał z nim kiedy poważną rozmowę ideologiczną.

A jednak tak się jakoś złożyło mimo woli.

W dobre lat kilka później, gdy już na emigracji byłem, wydalony po dłuższym więzieniu z Kongresówki, zetknąłem się przypadkiem z Reymontem w Zakopanem. A było to bodajże w słynnej kawiarni Plonki. Padał deszcz, bo owego nad miarę dżdżystego lata padał ciągle, i kiedy od stolika zwolna rozeszli się znajomi wszyscy, pozostałem z Reymontem sam na sam. I wtedy — skąd, dlaczego, doprawdy nie pamiętam, ale wydaje mi się, że chyba nie bez jakiejś tendencji uszczypliwej bodajby podświadomie — zacząłem z nim rozmawiać o sprawach politycznych i ekonomicznych.

My lewicowcy wówczas chodziliśmy jak struci po niefortunnych próbach pierwszej rewolucji; zdarzały się pomiędzy nami wtedy nawet wypadki samobójstw na tle zniechęcenia do życia i walki, nim znowu duch w nas wstąpił. Ja byłem tak młodzieńczy jeszcze, niedoświadczony, doktrynerstwa pełny... Znając więc prawicowe poglądy Reymonta, zacząłem mu tłumaczyć po lewicowemu podłoże tego, co się wydarzyło było w potwornym państwie cara, ostatni raz wówczas tryumfującego, i po chwili przeszedłem samą siłą rzeczy na Marksa, Engelsa i na ich teorię. W zapędzie jąłem w końcu nieomal agitować...

Reymont słuchał uważnie — ani jednym słówkiem nie przerywał mojego wykładu. Bo był to bez mała cały wykład.

I — o, dziwo! — spostrzegłem, że marksizm Reymonta zainteresował. Dotąd stoi mi w oczach ta dwoistość uczuć, która coraz dobitniej zaczęła się malować na inteligentnej i wyrazistej twarzy naszego przyszłego laureata Nobla. Bo w myśl jego poglądów marksizm nie mógł mu wprawdzie i nawet nie powinien był do przekonania trafiać; lecz z drugiej strony Reymont był to zawsze wielki realista i w sztuce i w życiu, patrzył na świat praktycznie, a „nervus rerum" nigdy nie był mu obojętny; widocznie więc z tej racji materializm dziejowy ogromnie go zajął. Czyniło mnie to coraz wymowniejszym. Skończywszy usłyszałem z ust jego:

— A wie pan, że to nawet wcale, wcale niegłupie...

Po czym z tych ust imć pana Reymontowych posypał się na mnie grad pytań. Jakich — tego mi nawet powtarzać nie wypada dziś, bo Reymont przecież stał się od tego czasu taką znakomitością w literaturze naszej i nie tylko naszej, że zdradzać szczegółowo cały jego brak wiedzy i poniekąd nawet naiwność w dziedzinie, o której w owych czasach, podobnie jak dzisiaj, ma wszak choć jakie takie pojęcie każdy bodaj coś niecoś wykształceńszy przeciwnik polityczny, byłoby rzeczą przykrą i nawet niewłaściwą. A przeto powiem tylko, że wyżej przytoczona opinia Fiszera o Reymoncie, jakkolwiek drastycznie wyrażona, niedaleko w istocie od prawdy odbiegała.

Deszcz nieco przestał padać. Zrobiło się późno. Rozstałem się z Reymontem w najlepszej komitywie.

I nigdy więcej w życiu nie widziałem już tego pisarza, który potem dostał nagrodę Nobla, a który był za młodu zwykłym czeladnikiem krawieckim. Jego bliski przyjaciel, krytyk Lorentowicz, nie bez humoru opisuje, jak znakomicie Reymont przyszywał guziki i reperował ongi jedyny swój garnitur.

Dochodziły mnie później już tylko z daleka pogłoski o różnych śmiesznostkach naszego laureata Nobla. Powiadano na przykład, że jego nazwisko właściwe było Reiment, czy nawet Balcerzak — że Reimentem się przezwał z niewiadomych już dzisiaj przyczyn jego ojciec i dopiero syn — pisarz zrobił się Reymontem, aby to lepiej brzmiało i godniejsze było tych znakomitych przodków, w których zamku miał on rzekomo przyjść na świat, jak pono opowiadał w Paryżu cudzoziemcom, u szczytu sławy będąc.

Ile jest w tym wszystkim prawdy, a ile tylko złośliwości bliźnich, nie wiem, nie dochodziłem. „On ne prête qu'aux riches" wprawdzie, ale komu już dzisiaj i co na tym zależy? Kto nie zna doskonałej anegdotki żydowskiej, ten niech posłucha, proszę:

„Wiesz, Icek, że ta żona Moryca to ona z pewnością go zdradza". — „Kogo?" — „Moryca, mówię". — „Kogo"? — „Czyś ty ogłuchł?" — „Nie ogłuchłem — ja tylko zapytuję tobie: kogo to dziś obchodzi?"

Wiadomo, że artyści miewają swe słabostki; ale wszak z tytanicznym Balzakiem pod tym względem było o wiele gorzej niż z naszym Reymontem.

Oczywiście że lepiej, gdy zwłaszcza pisarze słabostek w tak podrzędnym gatunku nie mają — są jako ludzie miłsi. Lecz — jak powiedział większy od Reymonta artysta, sercu lewicowców bliższy, autor „Ludzi bezdomnych" — talent to coś w rodzaju worka na plecach, który dźwiga częstokroć kto inny niż publiczność sadzi.

STANISŁAW PIĘTAK

STRACONY

Trwała chmurna noc. Słychać było zeschłe liście, jak zrywają się z szelestem na drodze — w dali, w miasteczku majaczyły w brudnej mgle światła latarń.

Rządca Gortych i Tadeusz Sokulski, młody lecz wiele obiecujący naukowiec, wracali bryczką, jednak nie mówili nic do siebie. Rządca sądził, że Sokulski żałuje, iż pokłócił się z narzeczoną i rozpamiętuje ciągle to zdarzenie — dlatego poczuł się zwolnionym z obowiązków towarzyskich i zatuliwszy się w futrzany kołnierz, zadrzemał.

Przypomniały mu się strzępy rozmów, jakie prowadził, porządkował już zasłyszane wiadomości i mówił je żonie, chwalił przy tym kolację u inspektora, wino, wódkę i ciasto. Nie oparł się także, żeby z uśmiechem wieloznacznym nie powiedzieć kilku plotek o Sokulskim i wychowanicy inspektora, Barbarze. „Z tego małżeństwa będą nici. Basia jest wspaniale ułożoną kobietą, no, ale ten Sokulski! To przecież wariat. Raz nic nie mówi i tylko wpatruje się w człowieka tymi swoimi dziwnymi oczyma, a raz znowu wybucha jak wściekły pies. Właśnie, chamska krew daje znać o sobie. Co się stało? Ano, gramy w pokerka, byłem ja, a prócz tego inspektor, inżynier Wodecki i Franuś Mroczkiewicz— oczywiście piliśmy trochę. Raptem rozmowa zeszła na ostatnie wiadomości wojenne — ach, Klaro, są nadzwyczajne, potem ci powiem — i tu właśnie nastąpiła ta nieprzyjemna, brzydka sprawa. Inspektor akurat podniósł się z kieliszkiem w ręku wygłosił naprawdę wzruszające przemówienie. Powiedział, że on setki kilometrów na kolanach pójdzie, jeśli się tylko wojna dobrze skończy, by podziękować naszej Częstochowskiej za jej łaskę i opiekę nad naszym narodem.

— Za co będzie pan dziękował? — przerwał mu wtedy ten mędrek, Sokulski. — Czy za to, że miał pan możność kupić kamienicę w Krakowie w pierwsze lata wojny?

Zawstydziliśmy się wszyscy. Barbara pełna zakłopotania i bólu opuściła pokój, inspektorowa zaś zbladła i wyjąkała: — Opamiętaj się pan. Mąż mój mówi o wzniosłych rzeczach, a pan wyjeżdża z czym, z czym...?

— Kamienica też rzecz wzniosła — odpowiedział, jak gdyby nigdy nic Sokulski.

Franuś Mroczkiewicz opowiadał świetne anegdoty polityczne, ale nie rozruszaliśmy się już wcale. Zresztą Barbara nie wyszła z powrotem — zabraliśmy się do wyjazdu. Tak, Sokulski to pomyleniec, ja wiem. Udaje filozofa, a to przecież nie jest mądrość ani oryginalność, a po prostu brak taktu!..."

Rządca otulał policzki futrzanym kołnierzem i wciąż prowadził gadkę z żoną, którą widział przymkniąwszy oczy tak wyraźnie, jakby siedziała koło niego. Sokulski na odmianę nie mógł wywołać najdrobniejszego obrazu w myśli. Widział jedynie przy drodze majaczące pnie akacji, które zdawały się go kłuć w oczy. Duszno mu było i kulił się pod natarciem słów, które jak rój os otaczały mu czaszkę. Słowa to były inspektora, gładko wygolonego, łysego mężczyzny, słowa to były inspektorowej, otyłej, nienawistnie patrzącej kobiety. Chciał usłyszeć i mowę Barbary, jasnowłosej swojej narzeczonej, ale tu słyszał tylko śmiech i płacz.

— Czy pana wysadzić już tutaj? Zdaje się, to już Brzeziny — zaburczał rządca, który nagle zbudził się, ziewając hałaśliwie.

W ostatnich trzech latach pisałem powieść o inteligencji pochodzenia chłopskiego. Rzecz dzieje się w Małopolsce w czasie powojennym.

Początkowy tytuł powieści „Błąd" zmieniłem obecnie na „Upragnione losy", który bardziej przylega do treści zakończonego już utworu.

Powieść większych rozmiarów coraz mniej nęci mnie i zadowala, w przyszłości skoncentruję się, jeśli chodzi o prozę, na pisaniu krótkich opowiadań, nowych w ujęciu, i dodałbym, trochę niespodzianych w mojej twórczości.

W dalszym ciągu — gwałtownie choć z rzadka — piszę nowe wiersze liryczne. Kilka z nich drukowałem w lipcowym numerze „Nowej Kultury".

STANISŁAW PIĘTAK

— Właśnie, zejdę — odpowiedział Sokulski i żegnając się w milczeniu, skierował się powolnym krokiem w ciemną wiejską drogę. Błoto i woda sięgały mu miejscami po kolana.

Było mu teraz jeszcze gorzej niż na bryczce i długo nie mógł się odważyć wejść do domu, do którego się już zbliżał. Rad był stać w ciemności, rad był jak najdłużej uniknąć decyzji, która świtała mu w mózgu.

„Słowa moje zwrócone do twego przybranego ojca — mówił w myśli wolno i z naciskiem do Barbary — nie były przypadkowe. Uważam jego wynurzenia za cynizm, zważywszy, że cały swój majątek zdobył podczas okupacji i zapisał się jako prawdziwy kat w majątkach, którymi zarządzał. Poglądów swoich się nie wyprę, jak również nienawiści — znasz mnie przecież dobrze. Na próżno modlisz się ciągle, by mnie nawiedziła łaska Boża i bym życie zobaczył we właściwych barwach i proporcjach — tak się nie stanie. Wiem, że moje poglądy przyprawiają cię o strach i cierpienie, więc proponuję — rozstańmy się — później zerwać byłoby cięższej..."

Całą noc nie spał, lecz wahał się i dręczył. Jeszcze rankiem, gdy mimochodem widział na zdjęciu wiszącym na ścianie uśmiechnięte usta Barbary, jej oczy wyraziste, wilgotne, ściskało go przeczucie czegoś niewypowiedzianie bolesnego, ale już w kilka godzin później ułożył pismo, o którym myślał i wysłał je listem poleconym.

* * *

— Jak cię ostrzyc, wysoko, nisko? — spytał szwagier, tęgi czarnowłosy chłop, gdy Tadeusz poprosił go nazajutrz o ostrzyżenie.

— Do skóry.

— Co? Czym ogłuchł? Przesłyszałem się chyba.

— Do skóry. A potem i popraw brzytwą.

— Ależ dlaczego? Na zimę idzie i twoje włosy są piękne. Hej, niejedna baba kupiłaby od ciebie te włosy.

— Widzisz, ubrdało mi się trochę, że gdy się ostrzygę do goła, nie zechce mi się wychodzić i będę mógł sobie popracować bez przerwy jaki miesiąc. Patrzył na spadające włosy i na wyłaniającą się w lustrze nagą, guziastą czaszkę surowo, uważnie i nie odpowiadał na żarciki rozbawionego nagle szwagra.

„Tu i ostrzyżyny są czymś nieistotnym, tu głowę należałoby uciąć, byle wyrwać pamięć o tamtych ludziach" — myślał niemal z okrucieństwem.

II

Ku własnemu zdumieniu pierwsze dni po zerwaniu przebył zupełnie znośnie, ledwie wspominając Barbarę i okoliczności fatalnego, imieninowego wieczoru u inspektora. Śmiał się zgoła, gdy krewniacy i znajomi wypominali mu brzydotę ostrzyżonej głowy, żartował — i z wielkim zapałem zabrał się do swej pracy o wymowie nosówek w okolicy Tarnomyśla, zaniedbanej ostatnimi czasy, przerwanej daleko jeszcze przed końcem. Przede wszystkim uporząd-

kował kartotekę miejscowości i nazwisk osób i z powrotem zaczął fonetycznie zapisywać zasłyszane teksty.

Barbara odpowiedziała dopiero po tygodniu. Donosiła lakonicznie, że rozwiązanie sprawy nie zaskoczyło jej, sama od dłuższego czasu nosiła się z podobnymi myślami. Narzeczeństwo ich było faktycznie omyłką, nie są dobrani, nie mają wspólnych zainteresowań. Prosi o odesłanie wszelkich listów i pamiątek. Poza tym nie ma nic do dodania, z ulgą zamyka na zawsze niefortunny fragment swego życia...

Tadeusza zajęły najbardziej w liście odruchy obrażonej dumy i to analizował trochę z gniewem, trochę z szyderstwem, na razie był jeszcze daleki od obezwładniającego lęku i bólu, które miały się w nim rozwinąć w najbliższych dniach.

Pierwsze symptomy cierpienia dały o sobie znać dopiero nazajutrz, gdy siostrzeniec, dwunastoletni Kazio, dał mu znać, że widział Barbarę, jak przejeżdżała autem przez Starowiśle.

— Z ojcem była? — zapytał cicho Tadeusz.

— Nie. Z dwoma panami, jeden to był ten inżynier Wodecki, który mierzył u nas pole.

— Widziała cię?

— Tak, bo ano stanęli i weszli do restauracji Jajkiewicza. Aż mi było dziwno, bo ani nie spytała o wujka, ani nie podjechała do nas, a przecież dawniej tak robiła.

Pierwszy atak przerażenia dosięgnął Tadeusza w nocy po obudzeniu się ze snu ciężkiego i makabrycznego... Topił się bodaj w Wiśle, a tymczasem Barbara siedziała na brzegu; świadoma była, co mu się przytrafia, a przecież śmiała się wesoło i żartowała z kimś tam, kogo zresztą nie poznał... Ledwie zdołał doczekać się świtu, ubrał się pośpiesznie i ruszył pieszo do Tarnomyśla. Zmęczony nocnymi przywidzeniami, zapragnął pójść do Barbary i porozmawiać z nią. Nie, nie, nie chciał wyraźnie powrotu narzeczeństwa, chciał jedynie — tak powtarzał sobie bezustannie — jakiejś konfrontacji. Barbara musi zrozumieć, że on z największym bólem zdobył się na swój krok, na odrzucenie szczęścia.

Był do tego stopnia zamyślony, że omal nie wpadł pod ciężarowe auto niemieckie, które go tuż za wsią minęło w maksymalnym pędzie. Deszcz, utrzymujący się od kilku dni, padał jeszcze, pola i wsie przesłonięte były mgłą gęstą, papkowatą, trzeba ją było rozcinać rękami jak wodę.

Była dopiero ósma, gdy stanął przed domem inspektora. Otwarł bramę i przez podwórze skierował się ku schodom na ganku. Nie doszedł przecież do nich, resztki dumy, zapowiedź upokorzenia, niespodzianie ścisnęły mu tak mocno serce, że ledwie nie krzyknął. W pośpiechu zawrócił i czym prędzej drżąc już teraz, by ktoś ze służby go nie zobaczył, wydostał się na ulicę.

Odruchy godności osobistej tak opanowały mu wyobraźnię, że na kilka godzin odzyskał całkowitą równowagę uczuć.

Dalszy ciąg w następnym numerze

MARIAN PIECHAL

NAGI W POKRZYWACH

Każdy chyba przyzna, że istnieje Stary i Nowy Testament, który przecież jest niczym innym tylko literaturą. Abstrahujemy na razie od tego, która z tych literatur jest lepsza. Rozstrzygnąć tego na pewno się nie da. Są jednak ludzie starzy i są ludzie młodzi. I to jest faktem niewątpliwym. I jeszcze innym faktem z tego wynikającym jest to, że ludzie młodzi czymś jednak różnią się od starych, między innymi sposobem odczuwania, widzenia i sądzenia siebie i wszystkiego, co ich otacza.

Przecież owe głośne walki klasyków (a właściwie pseudoklasyków) z romantykami, a potem romantyków z pozytywistami, a potem pozytywistów z „Młodą Polską", a potem „Młodej Polski" ze „skamandrytami", a potem „skamandrytów" z futurystami i awangardą — coś znaczą i to znaczą coś istotnego. Są faktem historycznym, który można, a nawet trzeba, badać, analizo-

wać i wyciągać wnioski na doraźny pożytek nasz, teraźniejszych ludzi.

A jaka nauka płynie z tych faktów? Ano ta przede wszystkim, że w każdej epoce, czy też tylko okresie historycznym, istnieje zjawisko mniejszej lub większej różnicy w odczuwaniu estetycznym między starszymi, a młodszymi pokoleniami. I że na ogół stary (wówczas, gdy to pisał, był młody) Adam Asnyk miał rację w tej strofie:

Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe..
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!

Tak, to prawda. Ale powstaje pytanie, czy wszystko, co młode to żywe? Wiadomo bowiem, że zdarzają się dzieci martwo urodzone. Zdarzają się także pokraczne i starcze od urodzenia. Jednym słowem chodzi o to, czy wszystko, co jest młode w latach, czyli pod względem wieku, jest także młode w myślach, młode pod względem twórczości duchowej? Młodość biologiczna nie jest przecież zawsze i koniecznie równoznaczna z młodością intelektualną. Sławetny ksiądz Benedykt Chmielowski, autor dzieła o tasiemcowym tytule „Nowe Ateny czyli Akademia wszelkiej scjencjej pełna..." itd., albo nie mniej od niego sławetny ksiądz Józef Baka, autor melancholijnych „Uwag o śmierci niechybnej", głośni przedstawiciele czasów saskich, byli niewątpliwie młodsi od swoich poprzedników z wieku XVII, jak Wacław Potocki czy Andrzej Morsztyn, ale czy przez to mądrzejsi i bardziej zaawansowani artystycznie, czyli bardziej nowocześni? Wydaje się, że chyba nie, że wprost przeciwnie.

A więc nowoczesność, awangardowość, postępowość i tym podobne zjawiska nie są bezwzględnym przywilejem młodości. W tym wypadku, niestety, jak to się często zdarza, miał nieco racji poczciwy Baka, gdy rymował:

Cny młodziku,
Migdaliku,
Młody rydzu,
Ślepowidzu...

Często bowiem nie ostrość, ale ślepowidztwo jest cechą niedojrzałej i zbyt dufnej w sobie młodości, która w takich objawach w literaturze i sztuce, jak np. futuryzm polski z pierwszych lat dwudziestolecia międzywojennego, o czym pisał z troską Stefan Żeromski w swoim „Snobizmie i postępie", jest z ducha swego bardziej zbliżona do młodości autorów czasów saskich, niż młodości autora „Ody do młodości". Takie ówczesne płody futuryzmu polskiego jak „Nuż w bżuhu" albo „Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego pieczyka" nie świadczą chyba pochlebnie o młodości, o zbytnim nadmiarze smaku artystycznego, o godnej podziwu inwencji twórczej, a rodzaj natchnienia, które zrodziło te utwory, niczym się chyba nie różni od natchnień, z których rodziły się owe sławetne, równie ezgotyczne i zaskakujące w swej treści i formie, utwory Baki i Chmielowskiego.

Tak, z tą młodością, zwłaszcza w sztuce i w literaturze, nie wszystko jest takie proste jakby się z pozoru wydawało. Trudny to problem. Nie wszystko co młode jest nowe i twórcze — nie wszystko co nowe i twórcze jest młode. To nie znaczy jednak wcale, że starzy zawsze mają rację. Nie, przeważnie jej nie mają, ale młodzi jeszcze częściej się mylą. Z drugiej strony, iluż młodych wyprzedza i dystansuje w sztuce współczesnej taki np. starszy pan jak Pablo Picasso! A w literaturze naszej, iluż młodych wyprzedzał w ostatnich latach swej twórczości Leopold Staff? Nie chcę sięgać po przykłady zagraniczne, ale tacy autorzy jak Borys Pasternak, T. S. Eliot lub Witold Gombrowicz w swym nowatorstwie są młodsi od naszych najmłodszych, choć mogliby być ich dziadkami. A więc o młodości świadczy i przesądza nie wiek, lecz energia twórcza, inwencja, natchnienie. „Młodości, podaj mi skrzydła!" — to właśnie to znaczy, a nie apel do byczkowatych bobasów i dudkowatych żółtodziobów, którzy z przywileju młodości usiłują uczynić przedmiot powszechnego kultu, a nie obowiązek rzetelnego przyswojenia i pomnożenia dorobku przeszłości.

Ale fakt jest faktem i nie da go się zaprzeczyć, że podobnie jak istnieje zjawisko starych i młodych autorów, istnieje też problem starych i młodych czytelników, zróżnicowanych innością odczuwań, smaku, tradycji i mentalności. Stary czytelnik i młody czytelnik to także problem starej i młodej literatury czyli literatury klasycznej i nowoczesnej. Młody człowiek w staroświeczczyźnie czuje się jak nagi w pokrzywach, wszystko go w niej razi i prawie wszystko jest w niej nie do zniesienia — podobnie stary człowiek czuje się w zetknięciu z problemami nowoczesności w literaturze, w sztuce, w modzie, w obyczajowości. Jest to osobny, niezwykle ważny, ciekawy i trudny problem.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

Oj, szewczyku, nie bądź głupi

Kiedy czarująca młoda kobieta, tzn. czarująca szewcowa *) (w inkorporacji p. Ewy Brok-Brzeskiej) zapewnia poczciwego bajdarza, tzn. poczciwego szewca (w inkorporacji p. Henryka Abbe), że kocha, bardzo kocha swego męża, a on jej replikuje w sposób podobny, zapewniając o swej wielkiej miłości do własnej, tylko do własnej żony, kiedy zapewnienia się mnożą do granic wytrzymałości, wtedy nie tylko na scenie dzieje się coś niedobrego. Wtedy widz szepcze do swej sąsiadki: teraz on się rozbierze. I rzeczywiście on się rozbiera. I jest koniec, szczęśliwy koniec, jest miłość wzajemna i taniec, pełen temperamentu taniec hiszpański, tańczony con fuoco z kastanietami i jest autor na scenie (inkorporowany przez pana Mariana Nowaka) i oto już koniec spektaklu.

Ale wtedy przychodzi refleksja i sprzeciw: tak się nie pisze dramatów. I rzeczywiście. Gdyby „Czarująca szewcowa" miała być wykładnikiem, sprawdzianem rangi pisarskiej Lorki jako dramatopisarza, niezbyt wysoka, na pewno nie oficerska byłaby to ranga. Bo proszę pomyśleć i zastanowić się: jaka jest zawartość tego dramatu? Intelektualna — żadna, poetycko-liryczna — bardzo nikła, dramaturgiczna — prawie żadna, gdyż „Czarująca szewcowa" jest dramatem znakomicie statycznym (pod tym względem nie uratują tego widowiska ani wysokie rejestry głosowe głównej bohaterki, ani przemykające, dogadujące sąsiadki-plotkarki, ani też postacie kręcących się i niby pojedynkujących gachów). Tak więc reżyser (Irena Ładosiówna) ma zadanie trudne. Jej pole do popisu jest stosunkowo nikłe.

Wydaje mi się, że tego dramatu o mechanizmie treściowym — zachowując oczywiście wszystkie należne proporcje — piosenki francuskiej o szewczyku, który chce szczęście kupić za buty (oj szewczyku nie bądź głupi...) nie uratowałaby nawet znakomita, niezwykle szybka w tempie interpretacja i koncepcja reżyserska prześwietnego „Piccolo Teatro" z Mediolanu, który to teatr mieliśmy okazję oglądać w lipcu br. w Łodzi. Nie pomógłby więc także ani brechtowski „efekt obcości", nie pomogłyby mocne cięcia w tekście, tak jak nie pomaga ani nie usprawiedliwia mielizny intelektualnej koncepcja niby jakiejś baśni andaluzyjskiej, tak jak nie pomaga wprowadzona na scenę postać autora. O czym on tam właściwie mówi? Ja już tego nie pamiętam.

A przecież Lorca ma swoje miejsce w dramacie europejskim. Z jego nazwiskiem, podobnie zresztą jak z nazwiskiem Johna Millingtona Synge'a łączy się określona tendencja dramatu europejskiego. Jest to swoisty bunt przeciw realizmowi dramatycznemu, odwołanie się do ludowych źródeł inspiracji, wprowadzenie elementów poetyckich, takich, jak symbol czy specjalna sytuacja o pewnych walorach liryczno-poetyckich. Najbardziej charakterystyczne utwory dla dwóch wyżej wymienionych dramaturgów to „Jeźdźcy do morza" Synge'a i „Miłość Don Perlimplina do Belisy w jego ogrodzie" Lorki, którą to jednoaktówkę nazwał on „alleluja erotyczną". W „Miłości Perlimplina" dochodzą do głosu wszystkie istotne cechy dramaturgii Lorki. Ten czteroobrazowy dramat nasycony zmysłową atmosferą miłości jest wyrazem oscylacji Lorki między dramatem poetyckim a „teatrem czystym". Elementy wprowadzonej przez niego dekoracji, a nawet akcji i toku dialogu są z istoty swej bardzo teatralne. Mają określony podtekst treściowo-symboliczny, uogólniają się, są wreszcie przesycone jakimś swoistym „ruchem wewnętrznym". Przypomnę pięć balkonów do sypialni Perlimplina, którymi — jeżeli pamiętam — mają wejść iluzoryczni kochankowie Belisy, przypomnę wielkie rogi wyrastające z głowy Perlimplinowi w noc poślubną, przypomnę postaci dwóch duszków i śmierć Don Perlimplina, którą zadaje sobie tylko po to, żeby nauczyć młodą, piękną Belisę znaczenia miłości. W tym krótkim, lirycznym dramacie stał się być może Lorca tragikiem. Jego ewolucja biegła w kierunku poetyckiego realizmu, co zaznaczyło się w „Domu Bernardy Alba".

„Czarująca szewcowa" należy do wcześniejszych sztuk Lorki. Jest też ona ledwie „próbą techniczną mikrofonu", nie zaś pełnym pokazaniem możliwości pisarskich świetnego, wcześnie zamordowanego poety. Od biedy dałoby się stwierdzić, że „Czarująca szewcowa", którą odczytać nie trudno jako apoteozę wiernej miłości, bardzo zresztą wyabstrahowanej, posiada jedną nienajgorzej napisaną rolę. To rola szewcowej. Ewa Brok-Brzeska wyszła z tej roli na ogół obronną ręką. Jej południowy temperament zyskiwał w scenach ściszonych i „wolniejszych". Tracił jednak czasem w scenach i kwestiach „krzyczanych", w których pomogły także raz obrotowe drzwi, przypominające jako żywo dekorację ze „Sługi dwóch panów" w inscenizacji Krystyny Skuszanki.

Cóż można napisać o innych odtwórcach? Szewc, czyli Henryk Abbe, był poczciwym małżonkiem, pracowitym, nie umiejącym się kłócić z klientami szewcem i doświadczonym bardem-mędrcem, ale i tylko tyle, bo nikim innym być nie mógł. Leon Niemczyk jako Alkad — doświadczony uwodziciel — poruszał się z gracją i mówił niezwykle przekonywająco swe kwestie, ale i tylko tyle, bo nic więcej zrobić nie mógł. Marian Nowak jako autor wychodził kilka razy na scenę i coś mówił. Grupa trzech

(Dokończenie na str. 8)

„Czarująca szewcowa" na scenie Państwowego Teatru Powszechnego. Ewa Brok-Brzeska — szewcowa, Henryk Abbe — szewc, Natalia Szymańska — sąsiadka, Zofia Kolińska — sąsiadka.

Fot. F. Myszkowski

*) Federico Garcia Lorca — „Czarująca szewcowa", zespół Państwowego Teatru Powszechnego, na scenie Teatru Młodego Widza. Inscenizacja i reżyseria: Irena Ładosiówna.

GOLĒNO STRZYŻONO

Wiek XX

W pewnej wiosce w powiecie Sławno działa ochotnicza straż pożarna. No cóż, jak najbardziej normalna sytuacja. Jednakże straż pożarna w owej wiosce posiada motopompę. A to już zupełnie co innego, to już może być przedmiotem dumy zarówno strażaków jak i najzupełniej cywilnych mieszkańców. Wyobraźcie więc sobie taką historię: powiatowa komenda straży postanawia zabrać motopompę. Powód: w naszej wiosce od pięciu blisko lat nie było żadnego pożaru. Żegnaj motopompo!

Przyjeżdża komisja, by spełnić swą powinność. Napięcie sięga zenitu. Motopompa, która przez tyle lat zapewniała wiosce i jej strażę odpowiednie miejsce w hierarchii, którą niegdyś poświęcono z taką dumą i tak uroczyście — zostaje wytoczona z remizy.

W tym samym momencie wybucha pożar w wiosce. Za chwilę gońce donoszą o drugim. Twarze ludzi jaśnieją zadowoleniem: motopompa jest jednak potrzebna. Członkowie komisji zaciskają zęby. Są wściekli.

Śledztwo, no cóż śledztwo wykazało, że strażacy podpalili dwie chaty w wiosce. Był to akt rozpaczy. Winnych pociągnięto do odpowiedzialności.

Lecz problem? Problem nadal pozostał.

Co teraz zrobić z motopompą?

* * *

Kiedy wreszcie słonie zmienią trąbę na saksofon?

* * *

Miłość jest jak rzeka, ale zapomniałem dlaczego.

* * *

Wody dzielą się na terytorialne, mineralne i w kolanie.

* * *

Skąd Grecy wiedzieli, że bitwa pod Maratonem odbyła się w 490 roku przed naszą erą?

* * *

Odeszła, bo zbyt długo zastanawiał się, czy jej biodra mają kształt para — czy hiperboliczny.

* * *

Główna różnica między ćwiartka masła a willą na Capri? W cenie.

* * *

Jesień była tak ponura, że zwiędły nawet drzewa genealogiczne.

* * *

Zamiast zamykać zebry do więzienia, wystarczy pomalować je w kratkę.

* * *

„Grunwald" jest pięknym obrazem, zwłaszcza gdy patrzy się nań z odległości 10 centymetrów.

* * *

Ależ się będą mieli z pyszna samochodziarze, gdy na świecie zabraknie ropy naftowej!

* * *

Dziwne. Miałem już w myśli wszystkie co ładniejsze kobiety, a ciągle czuję niedosyt.

GIKI.

Po groszu sztuka

Fotele nie po to są miękkie, aby pluskwy miały w nich ciepło.

Pomysły tygodnia

DO AMBASADY RADZIECKIEJ w Londynie nadszedł anonim, którego autor, podając się za pilota amerykańskiego samolotu wojskowego, groził zrzuceniem na własną rękę bomby atomowej na terytorium ZSRR. Niefrasobliwy anonim sugerował nawet, że start samolotu nastąpi w piątek, 19 września, z Mildenhall, hrabstwo Suffolk. Dopisek do listu zapowiadał, że przyjaciel autora zrzuci bombę wodorową na Polskę.

AKE WIKING, dwudziestoczteroletni Szwed, wrzucił do morza butelkę, zawierającą — zgodnie z obyczajem — kartkę papieru. Wiking zwracał się z prośbą do pierwszej dziewczyny w wieku 18 — 20 lat, która ujrzy tę butelkę, by napisała do niego list i przysłała fotografię. Rybak sycylijski, nazwiskiem Puzzo, wyłowił apel Szweda i pokazał kartkę swej osiemnastoletniej córce, Paolinie. Córce rybaka przypadł do gustu autor niecodziennego projektu; wkrótce ma się odbyć ślub Ake'a z Paoliną.

WIELKIE AMERYKAŃSKIE TOWARZYSTWO filmowe ma zamiar wprowadzić w swoich kinach zwyczaj rozpylania perfum. Zapachy mają oddawać nastrój wyświetlanego obrazu. Woń jaśminu zarezerwowana jest dla momentu, gdy na ekranie ukaże się piękna bohaterka filmu.

NA JEDNEJ Z SZOS, wiodących ku granicy belgijsko-holenderskiej, w ciągu paru godzin zanotowano pęknięcie pięćdziesięciu opon w samochodach turystów. Okazało się, że szajka przemytników wysypała na szosie żelazne kolce, które miały zahamować spodziewaną kontrakcję policji.

ZGODNIE Z NAKAZEM zawartym w trzeciej księdze mojżeszowej, co siódmy rok ziemie żydowskie powinny leżeć odłogiem. W związku z tym naczelny rabinat Izraela podpisał akt notarialny, przekazujący wszystkie grunty pewnemu Arabowi. W ten sposób nie może być już mowy o „ziemi żydowskiej", skoro należy ona formalnie do muzułmanina. Uprawa idzie na całego, zaś Mojżesz powinien być zadowolony, jeżeli nie z przestrzegania przepisów, to przynajmniej z pomysłowości swych potomków.

Powiedzieli

REGINALD KEELING, przewodniczący sekcji parlamentu nowozelandzkiego, zwraca się do przemawiającego przedstawiciela opozycji, Dana Eyre: „Czy czcigodny poseł może mówić spokojniej, gdyż paru posłów śpi".

ŚWIADEK zeznający w sądzie w Andarko (stan Oklahoma) zapytany przez prokuratora Goodwina, czy nie uważa, iż język obrońcy był zbyt gruby w czasie zadawania pytań: „Nie zaglądałem mu w usta".

W COOKSVILLE (stan Ontario) sąd chciał się dowiedzieć czy jest prawdą, że James Chester bije swą żonę. Odpowiedź Chestera: „Tylko gdy ona tego potrzebuje".

Opinia

„NOSZENIE STROJU WIECZOROWEGO nie jest bynajmniej oznaką zwyczajów burżuazyjnych. Smoking zrobi na pewno dobre wrażenie na turystach z Zachodu". Opinię taką wyraża czechosłowackie pismo „Nova Svoboda".

Z głupia frant

POLSCY UCZENI PRACUJĄ.

GDAŃSK. W Instytucie Naukowym Rybołówstwa polscy ichtiologowie pracują nadal nad problemem etapowej minimalizacji ryb. Jak wiadomo, normalna ryba (na przykład rekin) hodowana w akwarium nigdy nie osiąga swych przepisowych wymiarów, inaczej mówiąc: karłowacieje. Przenosząc rekina do coraz mniejszego basenu uzyskano osobnika długości 11 milimetrów, który świetnie czuł się w tzw. „musztardówce". Umieszczono go następnie w warzachwi, potem w łyżce stołowej, do herbaty, wreszcie w łyżeczce do kawy. Zgodnie z przewidywaniami, rekin malał i malał, aż wreszcie zniknął zupełnie, co obala prawo zachowania materii.

* * *

WROCŁAW. Katedra Gwar Ludowych przy Uniwersytecie Wrocławskim jest w trakcie opracowania nowej Księgi Przysłów Polskich. Dzięki mrówczej pracy naukowców wrocławskich zdołano uratować i zapisać szereg przysłów i powiedzeń, znanych tylko w pewnych okolicach kraju, na przykład:

Nowy Rok lepszy od Tatarzyna — przysłowie z okolic Jazgarzewa. Według dr Pałłaczka w sylwestrową noc roku 1317 w Jazgarzewie został rozbity czambuł Tatarów.

Głupi jak kozia trąba słoniowa — popularne określenie spod Szamotuł, świadczące, że abstrakcja jest naturalną cechą polskiego esprit ludowego.

MIROSŁAW OCHOCKI

JASNE, DOBRZE OŚWIETLONE MIEJSCE

Stary kelner nie lubi barów. Stary kelner lubi kawiarnie. Zwłaszcza tę, w której pracuje. Kawiarnia jest czysta i jasna. Jest dobrze oświetlona. A jasne, dobrze oświetlone miejsce, to rzecz najważniejsza. Bo wszystko jest nicością, człowiek jest niczym. „Wszystko jest nicością, człowiek jest niczym! — myśli stary kelner. — To wszystko wypełnić można tylko światłem, no i odrobiną ładu i czystości". Stary kelner zamyka kawiarnię, jest późna godzina nocna, rusza w drogę powrotną do domu. Nie chce już nad niczym się zastanawiać. „Ostatecznie — dodaje w myśli — to prawdopodobnie zwykła bezsenność. Wielu ludzi na to cierpi".

W taki mniej więcej sposób można by streścić — chyba wiernie — opowiadanie Hemingway'a. Czy zauważyliście, jak pisarz tonuje w nim pointę? Tak, jak gdyby w ostatnich zdaniach noweli chciał zlekceważyć wypowiedziana przedtem sentencję. Podać w wątpliwość jej słuszność. A w każdym bądź razie postawić obok niej znak zapytania. „Diabeł wie — zdaje się mówić — co też staremu przychodzi do głowy". W ten sposób osiąga Hemingway zamierzony efekt: po męsku przechodzi do porządku nad niewesołymi rozważaniami bohatera, a jednocześnie utwierdza czytelnika w przekonaniu że jest właśnie tak, jak myśli stary kelner. Że wszystko jest nicością, człowiek jest niczym. Że to nie bezsenność wywołuje podobne sentencje. Że są podstawy, aby tak myśleć.

Stary kelner chce żyć. Wie, że musi istnieć. Wbrew wszystkiemu. Jak wszyscy ludzie Hemingway'a. „Człowiek jest określony przez własny los" — powie fatalista William Faulkner. Ten problem zdaje się nie obchodzić Hemingway'a. Jakikolwiek jest, jaki byłby nasz los, trzeba żyć, trzeba walczyć do ostatka — taką dyrektywę przyjmują bohaterowie hemingwayowskiej prozy. O tej prozie można by powiedzieć, że autor bez przerwy poszukuje w niej prawdziwego człowieka. Prawdziwy człowiek, to ten, który znalazłszy się w obliczu nieszczęścia lub śmierci, wytrwa do końca. Dlatego też Hemingway w swoich utworach stale powraca do tematyki wojny, corridy, przygody. Szuka sytuacji, w których człowiek zdaje egzamin. Stąd też wyraźna niechęć Hemingway'a do ludzi bogatych: majątek chroni ich przed próbą charakteru. Toreador Manuel Garcia w „Niepokonanym" walczy aż do zwycięstwa. Mimo że byk rozorał mu ciało, mimo że ledwie może utrzymać się na nogach, mimo że picador woła doń, aby zszedł z areny. Zabija zwierza i sam wali się nieprzytomny na piasek. Ale przezwyciężył słabość, walczył do końca. Sanitariusze wynieśli go z areny, ale wynieśli go jako niepokonanego. Inne opowiadanie: „Krótki, szczęśliwy żywot Franciszka Macombera". Dzieje Macombera, to dzieje walki ze strachem, historia uwalniania się od lęku dzień po dniu. Macomber ginie na polowaniu. Ale wprzódy przełamał w sobie strach. Zginął bez lęku. Zwyciężył.

Przezwyciężyć strach, nie ugiąć się przed losem, patrzeć bez zmrużenia powieki — tak jak patrzy Harry „W śniegach Kilimandżaro" — w zbliżającą się śmierć. Oto postawa, jaką zajmuje w prozie Hemingway'a jego prawdziwy człowiek. Pytanie: czy na skutek zajęcia takiej postawy zawsze odnosimy sukces? Nie, ale sama postawa jest cenna, jest tym najcenniejszym, co można osiągnąć w życiu. Jest godna tego, aby ją zająć. A szczęście? Szczęściem jest chwila, w której człowiek może okazać własną wartość — przezwyciężyć słabość, zdać egzamin z próby charakteru — choćby zaraz potem miał, jak Macomber, zginąć.

Ernest Hemingway

Hemingway'a interesuje przede wszystkim zachowanie się człowieka. Jest on rzeczywiście mistrzem w opisach zachowań. Natomiast analizę psychologiczną daje na ogół tylko w takim zakresie, w jakim ujawnia się ona w opisie postępowania człowieka.

Zresztą rozwój twórczości Hemingway'a pozostaje w zgodzie z tradycjami literatury amerykańskiej. Hemingway zaczął pisać w latach dwudziestych. Rewolucja, dokonana nieco wcześniej na terenie prozy amerykańskiej, polegała właśnie na odejściu od analizy psychologicznej na rzecz opisu sytuacji jednostkowej. W tym kierunku orientowali się w początkach swej twórczości Sherwood Anderson i Gertruda Stein. Godna uwagi jest tu przede wszystkim — prostota. Prostota w budowie zdania i prostota w kompozycji całego utworu. Opisuj najprostsze, elementarne przeżycia człowieka, opisuj sytuacje jednostkowe. Takie są mniej więcej zasady, na których opiera się ta oszczędna, surowa, nie pobłażająca żadnemu zbędnemu słowu, proza. Ale przecież nie zawsze. Czasem, wręcz nieoczekiwanie dla czytelnika, Hemingway, podobnie jak Joyce, rozbudowuje monolog wewnętrzny. Gdzie? Chociażby w powieści „Komu bije dzwon". Tworzy dialog iluzjonistyczny, zbliżony do dialogu rzeczywistego, ale utrzymany w konwencji stylizującej na poetyckość. I znów, dążąc do maksymalnej prostoty w kompozycji utworów, buduje Hemingway fabułę za pomocą jednej lub co najwyżej paru krótkich scenek, wybiera kluczowy moment opisywanej sytuacji, konstruuje znakomite „zacieśnienia dramaturgiczne" — rezygnuje z wszelkich chwytów narratorskich, prowadzi opowieść jednym ciągiem. Podobnie jak Czechow, którego zresztą Hemingway bardzo ceni.

I jeszcze jedno. Czy zauważyliście, że Hemingway rozpoczyna opis zawsze od pewnego momentu? Od chwili, w której bohater utworu powziął decyzję. Na pierwszą strone opowiadania czy też powieści wchodzi zawsze człowiek, który już się zdecydował, który okres wahań, rozmyślań, szamotania się ma już poza sobą. Na pewno i tu także kryje się tajemnica „męskości" bohaterów autora „Pożegnania z bronią". Bo Hemingway'a nie interesują dni poprzedzające decyzję, Hemingway'a interesuje to czy człowiek wytrwa przy powziętym postanowieniu, bo wierność wobec decyzji oznacza wierność samemu sobie. Podobnie jak w powieściach Josepha Conrada. Kapitan Mac Whirr w „Tajfunie" Conrada postanawia płynąć poprzez szalejący sztorm — i popłynie. Robert Jordan w „Komu bije dzwon" wysadzi most mimo całej bezużyteczności tego czynu, ponieważ przybył w góry, aby wysadzić most. Conradowską wierność samemu sobie odnajdujemy więc w prozie Hemingway'a — i tutaj staje się ona, znów jak u Conrada, postulatem moralnym.

Hemingway wprowadza człowieka na jasne, dobrze oświetlone miejsce. Każe mu przezwyciężyć własną słabość, ujarzmić lęk, walczyć, mimo że walka jest często beznadziejna, dochować wierności raz podjętemu postanowieniu. Pesymizm to — jak chcą jedni? Optymizm — jak uważają inni? Na pewno dyrektywa etyczna. Bo Ernest Hemingway jest przede wszystkim moralista.

MIR. OCHOCKI

Oj, szewczyku

(Dokończenie ze str. 7)

histrionów, tzn. Sławomir Matczak — Don Drozdillo, Aleksander Benczak — kawaler przepasany barwnym pasem, Brunon Bukowski — kawaler w kapeluszu, robiła sporo ruchu na scenie. Ich zachowanie oscylowało między groteską a mrożącymi krew w żyłach zaczepkami silnych, gorącokrwistych synów Półwyspu Pirenejskiego. Oddajmy im jednak sprawiedliwość — te postaci były niłakie. I jeszcze barwny korowód kobiet, naprawdę barwny, bo suknie w miły sposób łechcą oko. W tym korowodzie wystąpiły: W. Grochowska, N. Szymańska, Z. Kalińska, H. Skrzydlowska. I to już chyba wszystko. Dekoracje podkreślały w sposób dosyć interesujący przeciętną urodę hiszpańskiego miasteczka, podobnie jak i pracownię szewca. Spektakl, jak można się domyślić, niecekawy, ale niecałkowita to wina Polaków.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

KSIĄŻKI NADESŁANE

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Poezje:

Julian Ejsmond — Bajki

K. Przerwa — Tetmajer — Poezje

Stanisław Ryszard Stande — Wiersze

Proza:

Kazimierz Brandys — Listy pani Z.

Teofil Gautier — Panna de Maupin

Władysław Reymont — Chłopi

Thornton Wilder — Idy marcowe

Tadeusz Boy-Żeleński — Antologia literatury francuskiej.

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA OSTOJI

aspazja

ILUSTR. JBIS-GRATKOWSKI

— 79 —

Pewien naczelny senhen istniał również w epoce Peryklesa na Ziemi. Badania tej wiecznie ich intrygującej Ziemi były już wówczas daleko posunięte. Robot -ów, ówczesny król Marsa, mający wygląd pszczoły i w ruchu atomów swego sztucznego mózgu jakieś poczucie estetyczne — zachwycił się tą całą epoką i kulturą antycznych Greków. Kiedy zdecydował, że przyjmie kształt ludzki i że odtąd ten kształt będzie przywilejem każdego najwyższego senhena-króla, mógł przyjąć kształt mężczyzny lub kobiety, to było obojętne. Jednak upodobał sobie żywą i prawdziwą Aspazję. Jej kształt został przez Marsjan niebywale dokładnie odtworzony i zanalizowany. Gdybyście zobaczyli stereofilmy, na których jest jakby żywa i cudownie piękna, bylibyście zdumieni.

Tak więc naczelny robot przyjął na siebie jej postać, nazwał siebie Aspazją i już nią pozostał na stałe. Tak więc po raz drugi, tym razem na Marsie, przyszła na świat boska Aspazja. Do stworzenia pełnego obrazu Aspazji było jednak jeszcze bardzo daleko. Marsjanie są jednak dociekliwi i konsekwentni. Są to przecież przede wszystkim matematycy.

Był kształt, kształt nie byle jaki, znakomicie wybrany, ale nie było treści. Od czegóż jednak jest cierpliwość tych automatów, którym nie przeszkadza nic „organicznego"? A należy dodać, że przy tego rodzaju „twórczości" zaspokajali oni również swe ambicje „organiczne" i „życiowe" — jednym słowem to wszystko, co im tak bardzo imponuje w ludziach. Nie dość jednak na tym. Marsjanie istnieli już blisko milion lat i w ciągu tego czasu powoli rozwijali się, ale u podstawy ich rozwoju leżała kultura pszczół. Mieli oni głęboko sięgające tradycje pszczele. Marsem kiedyś rządziły królowe—matki i zagadnienie płci nie było im zupełnie obce. Jednak sprawa „ukobiecenia" Aspazji zaczęła się jakoś konkretyzować, gdy ukazały się tutaj pierwsze rakiety ziemskie. Stopniowo, na podstawie nieustannych obserwacji i żmudnych dociekań, a następnie wiadomości uzyskiwanych od ludzi, zaczęli w swym modelu zbliżać się do pewnej doskonałości. Nie przybywało w ten sposób ani „organiczności", ani życia, ale kształt i różne jego mechanizmy coraz lepiej imitowały rzeczywistość.

— 80 —

Wnętrze tej co dzień doskonalącej się Aspazji było i pozostawało zespołem niezwykłych urządzeń sterujących, przewyższających tak dalece ich robota-pszczołę, jak my na przykład przewyższamy królika lub kreta, a „ciało", cały wygląd zewnętrzny ze wszystkimi pozorami życia, każdy szczegół tego „ciała" coraz bardziej zbliżał się do ideału. Było to „ciało", ale nie była to jeszcze „płeć". Płeć mogła być sprawdzona tylko na ludziach.

Marsjanie, mowa tutaj ciągle o senhenach, już na podstawie swoich doświadczeń z ludźmi z pierwszych rakiet dowiedzieli się o tym wszystkim, czego im bezpośrednia obserwacja za pomocą lunet nie ujawniła. Oczywiście sięgnęli i do wnętrza tych ludzi, przeprowadzając na nich wiwisekcje. Poznali działanie organów wewnętrznych i zrozumieli, co to jest biologia. Aspazja na ludzi z tych pierwszych rakiet nie działała zmysłowo. Uznawali, że jest bardzo ładna i pięknie zbudowana, lecz nie czuli do niej żadnego pociągu. Aspazja nie stosowała wtedy jeszcze swoich czarów. Byli oni po prostu zwyczajnie brani do niewoli.

Uczeni marsyjscy prędko zrozumieli, co to jest głos i jak przy jego pomocy można wyjawiać myśli; wynaleźli też, już przy pierwszej rakiecie, sposób porozumiewania się z ludźmi.

— To jest nie do wiary — szepnąłem zupełnie ogłuszony jej opowiadaniem. — Jak mogła w sztuczny sposób stać się kobietą w pełnym znaczeniu tego słowa? Skąd ten niezwykły urok, ten czar, ta siła przyciągająca, ten potężny głos płci?

Profesor Latona namyślała się chwilę.

— Jedyną prawdziwą kobietą na Marsie dotąd byłam tylko ja. Wyruszając tutaj z drugą ekspedycją byłam kobietą młodą i, jak mi się zdaje, powabną. Nie przekroczyłam wtedy jeszcze pięćdziesięciu lat, ale miałam ustaloną pozycję naukową. Wydałam kilka dość znanych książek, stałam się sławna jako znawczyni świata antycznego. Uroda moja była słynna na cały świat — opiewali mnie poeci, wielbili mężczyźni, malowano moje portrety i rzeźbiono popiersia, podziwiały mnie tłumy. Któż się mógł spodziewać, że kiedyś stanę się takim straszydłem? — zaśmiała się krótko i gorzko.

— 81 —

— Dla Marsjan — ciągnęła dalej — była to gratka zupełnie niezwykła. Nie liczyli na to. Doskonale już w tym czasie rozumieli, że nadanie królowej Aspazji dostatecznej treści kobiecej, obdarzenie jej płcią, nie może się odbyć bez, że tak powiem, modelu oryginalnego. Przyjęli mnie z zachwytem, jeśli w ogóle do takiego uczucia są zdolni, prędko porozumieli się i od razu przydzielili do królowej jako jej nauczycielkę, mentorkę, instruktorkę, wychowawczynię, niańkę i wreszcie chyba — matkę. Byłam tym wzorem, który miała naśladować we wszystkim, a jak zauważyliście, zdolności naśladowcze tych istot są olbrzymie.

W ciągu dwustu pięćdziesięciu lat mojego pobytu na tej planecie czyniłam co było w mej mocy, aby przelać w nią, aby jej przekazać wszystko, co posiadałam — a więc wszystkie moje wiadomości, całą wiedzę i duszę moją. Nie mogę powiedzieć, że ta praca była przykra. Aspazja była pojętnym stworzeniem — więc w ciągu wielu lat nauczyłam ją wszystkiego, co mogło z niej uczynić doskonałą kobietę... Jest więc ona w pewnym sensie powtórzeniem mnie samej... jest jakby moją córką... w każdym razie rezultatem wysiłku całego mego życia.

Pytacie, skąd jej wdzięk i powab? Otóż sądzę, że są to w pewnym stopniu te cechy, które jej przekazałam z okresu mojej młodości. Prócz tego dopomogła mi żywa królowa pszczół, która się zachowała wraz z małym rojem, o czym już wam wspominałam. Mówię, oczywiście, o każdorazowej królowej, bo pszczoły te rodzą się i umierają, ale nie wolno im rozmnażać się ponad ustaloną normę.

— Tak więc — dodała — ten czar, jeśli nie jest zupełnie ludzki, to jest częściowo pszczeli. Muszę wam wyjaśnić, że żywe pszczoły są uroczymi stworzeniami. Są tak urocze jak choćby ten oto owad, co tu stoi — wskazała ręką.

Rzuciłem okiem na pszczołę stojącą nieruchomo koło wejścia, ale nic czarującego nie dostrzegłem — była taka sama jak wszystkie inne.

(D. c. n.)

NASZA KRZYŻÓWKA

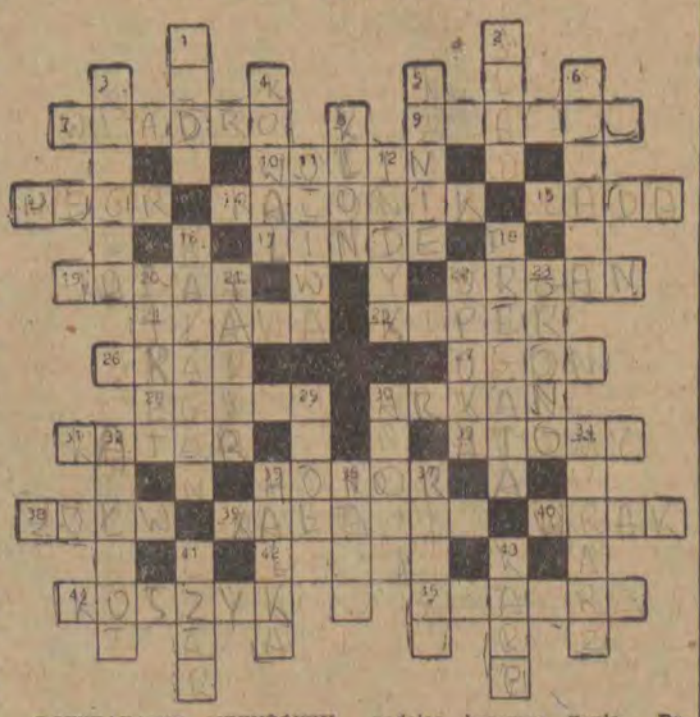

ZNACZENIE WYRAZÓW:

POZIOMO — 7) Kubeł, 9) Pisarz francuski, 10) Wyspa na Bałtyku, 13) Murzyn, 14) Mały balon, 15) Kontuar, 17) Autor słownika mowy ojczystej, 19) Archaiczna nazwa bluzy żołnierskiej, 22) Narząd, 24) Miasto między Malborkiem i Mławą, 25) Zawodowy znawca wina lub herbaty, 26) Schodki okrętowe, 27) Kita, 28) Tarcza Zeusa wykuta przez Hefajstosa, 30) Rodzaj lassa, 31) Przeziębienie, 33) Cząstki materii, 35) Poczucie godności własnej, cześć, godność, 38) Skorupiak, 39) Wędlina, 40) Szczątki rozbitego okrętu, 42) Twierdzenie pomocnicze służące do udowodnienia twierdzenia głównego, 44) Wyrób z wikliny, 45) Kilof.

PIONOWO: 1) Grzyb, 2) Trop, 3) Ptak, 4) Rzemieślnik, 5) Pierwsze, drugie, trzecie, 6) Kolejne miejsce w spisie zwycięzców w zawodach, 8) Drzewo liściaste, 11) Tłuszcz, 12) Ptak domowy, 16) Nieporządek, 18) Okręt lub ptak żyjący nad brzegami mórz zwrotnikowych, 20) Nakrycie głowy sędziego, adwokata, prokuratora, 21) Zwierzę żyjące w lasach Ameryki Środkowej i Południowej, 22) Skała, 23) ...przyjaciół, ...nauczycielskie, 29) Wyspy koralowe w kształcie pierścieni, 30) Rynek w starożytnej Grecji, na którym odbywały się wiece, 32) Imię męskie, 34) Robotnik budowlany, 35) Tytuł opery Moniuszki, 36) Kapitan łodzi podwodnej opisanej przez J. Verne'a, 37) Wirnik, obracająca się część maszyny elektrycznej, 41) Urok, 43) Ryba.

TERMIN NADSYŁANIA ROZWIĄZAŃ — 2 TYGODNIE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nr 25

PIONOWO — Barbara, barometr, tatarak, tango, gąbka, jatagan, parawan, ziele, wyrwa, konwalia, linka, czaprak, kantata, Rugia, kawka, Diana.

POZIOMO — balagan, broda, runda, robak, rzepa, narkoza, kwadrat, balwierz, barbakan, padalec, karawan, Zenia; Dania, nugat, piant, rakieta.

NAGRODY KSIĄŻKOWE ZA ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI WYLOSOWAŁY:

1. EUGENIA BUKOWSKA, Łódź, ul. Piotrkowska 152 m. 2a.
2. ŁUCJA PILIŃSKA, Łódź, ul. Wólczańska 67.

Celem człowieka jest szczęście

Boy — mędrzec wyraził pogląd, że w zdaniu, stanowiącym tytuł niniejszego felietonu, mieści się sens filozofii Stendhala, którą on sam nazywał beylizmem (od nazwiska Henryk Beyle, które wielki pisarz zamienił na pseudonim Stendhal).

Nie znany prawie za życia autor „Pustelni Parmeńskiej" oraz „Czerwonego i czarnego" przepowiedział, że zaczną go czytać od roku 1880. Istotnie, przepowiednia sprawdziła się i dzisiaj Stendhal należy do najbardziej poczytnych pisarzy świata. Kult jego rośnie z roku na rok, obie wymienione wyżej powieści zostały sfilmowane („Czerwone i czarne" z Gerardem Philippem oglądaliśmy w zeszłym roku, „Pustelnię Parmeńską" — przed paru laty).

I oto znów w tym roku ukazały się dwie francuskie książki Georges'a Blina o wielkim powieściopisarzu pt. „Stendhal I zagadnienie powieści" oraz „Stendhal i problematy osobowości".

Prasa francuska („Les Nouvelles Litteraires" i „Arts") chwali gorąco obie pozycje tak od strony literackiej, jak i socjologicznej. Recenzent „Arts" daje swym rozważaniom o studiach literackich Blina tytuł: „Stendhal jest zwierciadłem, w którym przegląda się nasza generacja", i nie bez słuszności porównywa cechy charakteryzujące pisarstwo Stendhala z dzisiejszą postawą młodego pokolenia pisarzy francuskich: połączenie dyskretnej czułości z zimnym, analitycznym umysłem; trochę szelmostwa i brak kurtuazji dla kobiet oraz zupełny brak szacunku dla zasad i haseł politycznych, przyjmowanych raczej nieufnie. Czy te cechy nie charakteryzują również naszej młodzieży?

Dezynwoltura, oschłość, kaprys — oto co równie dobrze pasuje do Stendhala, jak i do dzisiejszej filozofii życiowej młodych i trochę starszych.

Recenzent widzi współczesność problematu Stendhala w tym, że sto pięćdziesiąt lat temu wielki pisarz analizował człowieka osamotnionego, nieufnego, krytycznego w stosunku do społeczeństwa i sceptycznego wobec roztaczanych przed nim nadziei, a przy tym — spragnionego szczęścia.

Otóż to, szczęścia!... Gdy w 1812 roku Stendhal znalazł w Mediolanie łaskawe przyjęcie u swej uwielbianej Angeli Pietragrua, nie chciał słyszeć o niczym, ani o wojnie, ani o polityce, o niczym, co nie jest szczęściem i miłością.

W miesiącu bitwy pod Lipskiem pisarz, wielbiciel Napoleona, notował w swym dzienniku (jak podaje Boy) jedynie drobne fakty odnoszące się do stosunku miłosnego z Angelą.

A więc Stendhal, wiecznie modny! Stendhal jako zwierciadło dla tych, którzy uczą się żyć, i odnajdują w jego książkach wzór i styl życia.

ARYSTARCH

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Grupka starszych jegomościów krytykujących na ławeczce przy rynku system emerytalny, obowiązujący w PRL, udzieliła mi dalszych informacji o mieście i jego mieszkańcach. Usłyszałem mianowicie, iż brodaty staruszek, pogrążony na sąsiedniej ławce w głębokiej medytacji to malarz, któremu „zmysła się popsuły", z urodzenia Niemiec i w ogóle czort wie co za jeden. Konflikt polsko-niemiecki nadal jest żywy w Zduńskiej Woli — odnotowałem. Jeśli natomiast chodzi o ocenę sytuacji ekonomicznej miasta, poglądy mych rozmówców nie zgadzały się zupełnie. Jeden z nich dowodził, iż przed wojną było lepiej, bo każdy

MAŁA,

JAK ZA KAROLA MARKSA

weber — czyli tkacz w tutejszej gwarze — mógł zapracować na własny warsztat, drugi utrzymywał, że lepiej jest teraz, bo nie trzeba robić „od słońca do słońca" — po 16 godzin na dobę, trzeci wreszcie zreasumował dysputę autorytatywnym stwierdzeniem, iż w istocie lepiej było przed wojną, ale przed tą pierwszą, za cara, bo weber mógł wtedy zarobić w ciągu dniówki rubla, a nawet rubla i piętnaście kopiejek. Zapanowała błogosławiona zgoda.

Nie miałem zresztą czasu zbyt gruntownie penetrować w ekonomiczne i socjalne problemy lat minionych, gdyż naraz stanął mi przed oczami konkretny, realny, namacalny relikt przeszłości, przeniesiony in extenso w teraźniejszość, jak gdyby żywcem wyjęty z makabrycznych opisów wczesnokapitalistycznych manufaktur w „Kapitale". Pióra Zoli trzeba by dla oddania w druku wstrząsającej wizji pomieszczeń spółdzielni odzieżowej pod optymistycznym, chyba przez ironię, szyldem „Lipcowy Zryw", spółdzielni przodującej w branży, odznaczonej wieloma dyplomami, spółdzielni intratnej i zasłużonej. Ponure gmaszysko ceglane, oblepione brudem i przesiąknięte ciężkim smrodem ustępów, z których nadmiar cuchnących odchodów sączy się strużką przez podwórze, grozi rychłym zawaleniem, więc we wszystkich izbach, gdzie w rojowisku much pracuje jedna przy drugiej parę setek bladych dziewcząt, solidne stemple drewniane podpierają stropy. Major straży pożarnej, przeprowadzający inspekcję, macha tylko ręką zrezygnowany, bo na dobrą sprawę, powiada, gdzie tylko spojrzeć — niebezpieczeństwo. Zamknąć by tę budę natychmiast, rozebrać, lecz zamknąć, to znaczy pozbawić pracy, to znaczy odebrać tym kobietom trzysta, pięćset a jak dobry miesiąc — nawet tysiączłotowe zarobki! To znaczy zlikwidować zakład, który mimo najcięższych warunków bardzo twarzowo ubrał w peleryny całą Brygadę Podhalańską, a teraz szyje efektowne kostiumy plażowe dla nadobnych dziewcząt Mongolii. Konflikt życiowych konieczności z niebezpieczeństwem dla życia. Jakie rozwiązanie? Jest, owszem, rozwiązanie, nie na „już" wprawdzie, ale na rok przyszły, buduje się bowiem na peryferiach miasta nowy, nowoczesny budynek, w którym wszelkie wymogi organizacji produkcji, higieny i bezpieczeństwa znajdą pełne zadośćuczynienie. Z dwumilionowego funduszu, wygospodarowanego przez spółdzielnię i z kredytów bankowych powstaje świetlany gmach! Chwała zarządowi spółdzielni, chwała cierpliwym „pracownicom igły"! Lecz oto przed spółdzielnią rysuje się nowe niebezpieczeństwo: brak jakościowego surowca. Ludzie nie chcą już kupować bubli z bawełnicy, szukają modnych fasonów z dobrych materiałów. A skąd wziąć gabardynę? Skąd wziąć popelinę? Skąd ryps?

Wzrost dobrobytu w kraju rykoszetem bije w spółdzielnię, jak i w cały przemysł odzieżowy. Z masowej tandety czas przejść na „krótkie serie", z surogatów — na tkaniny pełnowartościowe. Im dłużej przemysł odzieżowy będzie pracował „po staremu", tym gorzej dla przemysłu.

NIECH SIĘ MURY PNĄ DO GÓRY...

Niecopoda: nowego budynku „Lipcowego Zrywu" wykluwa się także wielki kombinat bawełniany, który zbierze do kupy zduńskowolskich tkaczy, rozparcelowanych dziś w ośmiu czy dziewięciu starych, obskórnych fabryczkach, pamiętających czasy dziewiętnastowieczne. Po kilkunastu latach zastoju i dewastacji miasto nabiera ceglastych rumieńców. Siedem nowych bloków mieszkalnych oddano już lokatorom, następne kiełkują z fundamentów. To dopiero kropla w morzu potrzeb; ze wszystkich miast województwa Zduńska Wola ma najczarniejszy wskaźnik zagęszczenia mieszkań 2,3 osoby na izbę i największy bodaj odsetek domów zagrzybionych i w dodatku wyjątkowo fatalny stan kanalizacji — ledwie parę procent mieszkańców korzysta z tego dobrodziejstwa. Lecz i tych siedem bloków stanowi postęp olbrzymi. Póki Zduńska Wola była zwykłą osadą fabryczną pod skrzydłami powiatowego, choć dwakroć mniejszego Sieradza, póty nie powstał tu dom ani jeden. Nie dziw wcale, że nuta pretensji dźwięczy w głosie mych rozmówców, gdy tylko pada nazwa Sieradza, który pazernie przywłaszczał sobie wszelkie dobra z góry płynące, traktując Zduńską Wolę niby byle jaką wiochę. Nie wykluczam, rzecz oczywista, ewentualności, iż w Sieradzu posłyszałbym opinie diametralnie przeciwne, więc wolę skończyć ten temat, pod niebo wynosząc postanowienia władz, nadające Zduńskiej Woli statut miasta wydzielonego.

Ale „od Gomułki" ruszyło nie tylko budownictwo bloków osiedlowych; gdzie nie wyjść dwa kroki w bok od głównych ulic, wszędzie murarska papranina. W budowie 250 domków jednorodzinnych, na miasto, liczące 26.000 mieszkańców. 70 domków już ukończono, a byłoby ich więcej, gdyby nie pewien przedsiębiorczy „spółdzielca", który pobrał od ludzi zaliczki, w sumie coś koło pół miliona i czmychnął z forsą, ponoć do Wrocławia. Czy to prawda, głowy nie dam pod ewangelię, w Polsce się przecież takie rzeczy nie zdarzają, nazwiska też nie powtórzę, gdyż procesy o zniesławienie różnych opryszków mnożą się latoś, jak australijskie króliki.

SZARA

TAKIE ROZNE PLOTECZKI

Mogę natomiast zaryzykować głowę w innej sprawie. Śmiem twierdzić, że włodarze miasta, którzy — za to im cześć! — z dużą energią walczą o poprawę sytuacji mieszkaniowej, nie zrobili dotychczas literalnie nic, ażeby podnieść Zduńską Wolę do rangi miasta „całą gębą" w dziedzinie, mówiąc najogólniej urządzeń kulturalnych.

Przemierzając Polskę wzdłuż i wszerz widziałem domy kultury w najmniejszych nawet Gołdapach, jak również w poniektórych wioskach. W Zduńskiej Woli nie ma nic w tym rodzaju, jedyna kawiarnia dość podłą daje namiastkę życia towarzyskiego, wieczorami zaś wszyscy, z potentatami władz miejskich i partyjnych na czele, walą jak w dym do prywatnej knajpki, gdzie przynajmniej można zjeść kotlet nie lękając się zatrucia. Dwie pozostałe restauracje bez reszty opanowane są przez „sfery tronkowe", których główni matadorzy dla lepszej konspiracji przed małżonkami wchodzą tam tylnym wejściem i w analogiczny sposób wychodzą. Osoby niedyskretne utrzymują, że przy jednym ze stolików restauracji hotelowej dokonano niegdyś interesującej transakcji: kosztem 4 litrów czystej wyborowej przeforsowano kandydaturę pewnej pani do zaszczytnego tytułu Miss Zduńskiej Woli.

Jeżeli już jesteśmy przy tych sprawach, warto wspomnieć, że jedną z głównych bolączek miasta jest brak na rynku schabu, szynki, polędwicy, pierwszej krzyżowej, cielęciny, żeber, a także wszelkich innych gatunków mięsa. Smutny ten objaw wiąże się bezpośrednio z działalnością eks-przewodniczącej MRN, obywatelki Chrzanowskiej, która ciepłą rączką przekazała miejską rzeźnię na rzecz Instytutu Weterynarii, ponosząc w ten sposób bezsporne zasługi na polu zwalczania pryszczycy. Niestety gest ten, godny Zagłoby, nie został należycie oceniony przez mieszkańców miasta, którzy — jeśli nawet chwycą czasem jakiś ochłap — to zazwyczaj mocno zmaltretowany transportem w wozie, służącym normalnie do przewozu węgla. Wspomniana działaczka o tyle jeszcze upamiętniła się w dziejach grodu, że proponowała w imieniu jego ofiarować Warszawie piękne drzewa, jedyną ozdobę smutnych ulic Zduńskiej Woli, w celu udekorowania Placu Defilad. Ktoś małoduszny stłamsił jednak tę inicjatywę.

Siłą inercji najwidoczniej, o nowym przewodniczącym MRN niektórzy ludziska mówią nieprzychylnie. Oceniają np. z góry jego działalność przez pryzmat jego niemieckiego nazwiska, suponując automatycznie, że kogoś tam będzie faworyzować przy tym lub owym. Pogląd bzdurny wprawdzie, ale tak namiętnie wyznawany i głoszony, że nie sprzyja dobrym stosunkom obywateli z władzą terenową. Legendy pełne zachwytu krążą natomiast o przedwojennym burmistrzu Szaniawskim, który tak dbał o obywateli, że jeśli spotkał kogo pod gazem, pakował go w dorożkę, wiózł do domu, a rano wzywał „na magistrat" w celu uiszczenia opłaty.

BÓJ O KRYPĘ

Jeszcze jeden konflikt zduńskowolski rozżarzył się między starszą, a młodszą generacją na tle paroletnich starań o dom kultury, lub choćby jakąś jego namiastkę. Władze municypalne, podtrzymywane autorytetem komitetu partii, wszelkie w tej sprawie roszczenia młodzieży zbywają trudnym do zbicia argumentem: „nie czas budować domu kultury, gdy niektóre rodziny gnieżdżą się w izdebkach dwa metry na trzy, a w szkołach wypada półtora dziecka na metr kwadratowy powierzchni".

Trwa więc przy każdej okazji niekończący się dyskurs, na kształt meczu ping-pongowego:

— Młodzież jest pokrzywdzona!

— A co robi sama młodzież dla rozwiązania swych spraw?

— Stwórzcie nam choćby minimalne warunki!

— A nie możecie zadbać o to sami?

— Nie mamy żadnych środków!

— Ale przecież macie ręce do pracy?

Towarzyszka z egzekutywy KM, odpowiedzialna za pracę z młodzieżą rozwinęła przede mną szeroką teorię: młodzież jest rozpieszczona i spatyczna, niezdolna do zrywu, czeka tylko na mannę z nieba, zamiast bojowo zakasać rękawy. Podobne rozumowanie przypomina mi zawsze humoreskę Janusza Osęki o małorolnym Bulwie, w którym nastąpił przełom: postanowił oto Bulwa założyć spółdzielnię produkcyjną, do czego wszak potrzebne były traktory. Skąd wziąć traktory? Wyszedł Bulwa za chałupę, żelastwa jakiegoś nazbierał, pogiął je, drutem powiązał i traktory stanęły rzędem: jeden, drugi, trzeci... Prawda jaki trafny sposób, towarzyszko? Nazbierać trochę kamieni z pola, wapna parę garści, puszki po sardynkach, trociny, i dom kultury stanie jak się patrzy, okazały, że hej!

Ostatecznie znalazłby się i inny sposób: w samym centrum miasta wznosi się okazały budynek opuszczonego kościoła baptystów, zwany tutaj „krypą". Po niewielkich przeróbkach „krypa" mogłaby znaleźć znakomite zastosowanie do celów kulturalno-towarzysko-rozrywkowych (duża sala widowiskowa — kawiarnia — pokoje klubowe), niestety, Wojewódzki Zarząd Handlu Tekstyliami urządził w niej magazyn, zaopatrujący kilka sąsiednich powiatów. Wprawdzie racje ekonomiczne nakazywałyby przenieść magazyn do centralnie położonego Sieradza, w celu uniknięcia zbyt dalekich przewozów, lecz handel ze zwykłą sobie niemrawością woli godzić się na stan tymczasowy.

Muru głową nie przebijesz. Grupa młodzieży inteligenckiej, która przez dwa lata zabiegała o jakikolwiek przytułek dla swego klubu, rozpadła się wreszcie, „zdezintegrowała" — używając modnego określenia — machnęła ręką na niewdzięczny gród i całą sferę ży-

(Dokończenie na str. 11)

ŁÓDŹ

Za tą „efektowną" bramą, której środkiem sączy się smrodliwy strumyczek, pracuje parę setek dziewcząt.

Pryncypalną ulicą Zduńskiej Woli suną pojazdy niezmotoryzowane wprawdzie, ale za to o ileż pewniejsze i bardziej oszczędne.

Obrazów ludzie kupować nie chcą, złe czasy dla artystów. W Paryżu, to by mnie docenili...

Widziałem Pożegnania

(Dokończenie ze str. 12)

żegnań" opowieść filmowa o tym stopniu ambicji, który ukazuje innego Dygata i innego Hasa. Tylko Jahoda pozostał sobą i dzięki jego zdjęciom — film naprawdę zyskuje wiele.

Nasuwają się pewne pytania:

1. Dlaczego Paweł, doganiając tramwaj, wskakuje na pierwszy pomost? Jest okupacja, a więc pomost „nur für Deutsche..." A skąd w ogóle tramwaj po powstaniu? Gdzie?

2. Dlaczego Milski chodzi z brodą, sprzedając ciastka? Rozumiem, że sprzedaje, ale ta broda! Pierwszy z brzegu hitlerowiec może go wziąć za Żyda i odpowiednio potraktować. Minęło raptem skromne 15 lat, a już się zapomniało...

3. Z wstępu do „Pożegnań" usunięto obu dowcipkujących profesorów. A jednak zjawiają się oni później, a nawet nawiązują do sytuacji, których w filmie nie ma! („Nie oczekuj młody człowieku, że będziemy dowcipni").

4. Dlaczego Lidka robi Pawłowi gorzkie wyrzuty, że zrobił z niej pięć liter, a Paweł, który jest bez winy, słucha tych pretensji bez mrugnięcia okiem?

I tak dalej.

Gdyby Dygatowe „Pożegnania" zaliczone były w poczet obowiązkowej lektury szkolnej, wówczas film Hasa mógłby być rozumiany jako coś egzystującego na zasadzie bryku, z którego tępy lub leniwy uczniak wyniesie kąsek wiedzy o pierwowzorze. A że niezbadane są wyroki przeznaczenia, przeto filmowe „Pożegnania" mogą jeszcze tę rolę spełnić.

Kto wie?

EDWARD ETLER.

MAŁA, SZARA ŁÓDŹ

Dokończ. ze str. 10

cia kulturalno-rozrywkowego ustawiła frontem do pobliskiej Łodzi. Nie mieszka w Zduńskiej Woli, lecz tylko sypia tu, ewentualnie pracuje. Młodzież robotnicza zaś, ku zgorszeniu moralistów, wałęsa się po ulicy, jako iż nie stoi przed nią żadna alternatywa, skoro nawet kino — odkąd zdrożały bilety — przestało być atrakcją dostępną na codzień. Prawda, są jeszcze przy świętach i obchodach państwowych uroczyste zabawy w Straży Pożarnej!

* * *

Niebanalne miasto. Elegantki z wdziękiem paradują po ulicach w malowniczych zapaskach sieradzkich, których za żadne skarby nie włożyłyby gdzie indziej „miastowe" damy. Na kursy dokształcające dla młodzieży pracującej, która nie ma podstawowego wykształcenia, pierwsze zgłosiły się... zakonnice. Na zebraniach ZMS, kiedy młodzież domaga się „dajcie nam gdzieś potańczyć", komitet miejski wysuwa inne propozycje: opiekę nad zabytkami, których — jako żywo! — w mieście nie ma, udział w Millenium, kształcenie ideologiczne, a także prenumeratę „Walki Młodych". W kościele baptystów — zamiast domu kultury — magazyn tekstyliów. Wszystko jakoś inaczej.

Lecz, co zdumiewa najbardziej, gdy ktoś ośmieli się powiedzieć (zgodnie z prawdą), że Zduńska Wola jest brzydkim, zaniedbanym, rachitycznym miastem, wtedy cichną wszystkie wewnętrzne konflikty i — huzia na Józia! — aż niefortunny krytykant musi szybko wycofywać swój pogląd co do estetycznych niedostatków miasta, które nie darmo wszak szczyci się przydomkiem „małej Łodzi"!

WOJCIECH GIEŁZYNSKI.

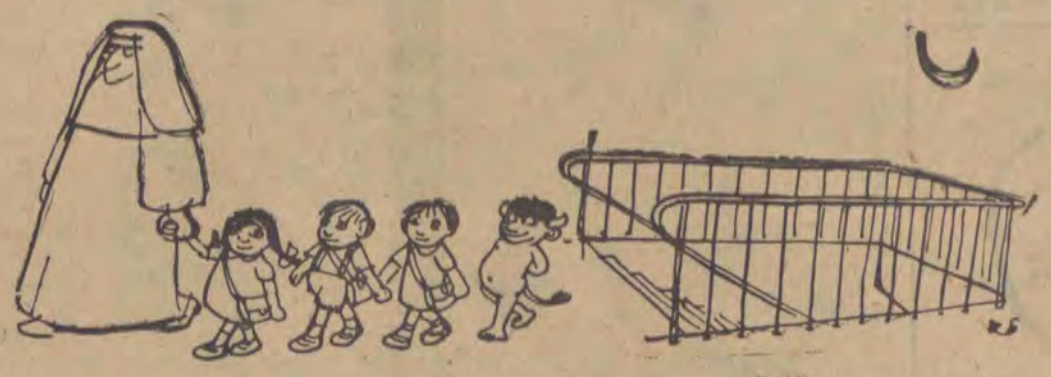

Najostrzejsze ołówki świata

Hans Fischer

albo

oplute pickelhauby

Dotychczas tylko dwóch rysowników niemieckich gościło w cyklu „Najostrzejsze ołówki świata". Prawdę mówiąc, trudno było o więcej, ciężkawy humor niemiecki nie posiada na ogół wybitniejszych przedstawicieli.

Aż tu nagle niespodzianka! Nakładem tygodnika „Eulenspiegel" ukazuje się album znakomitych żartów obrazkowych Hansa Fischera...

Kim jest Hans Fischer? Ba, w tym sęk, że był anonimem. Drukował wiele doskonałych rysunków, we Francji, Anglii, NRF, nawet w Japonii i Australii — ale ponieważ żartów swych nie podpisywał, lub najwyżej zaznaczał hieroglificzną strzałką — trudno było zwrócić na te rysunki baczniejszą uwagę. Fischer jest emigrantem niemieckim, stale mieszkającym w Anglii — i dopiero niedawno odsłonił przyłbicę, nawiązując współpracę z czasopismami NRD.

Rysunki Fischera przypominają nieco szkice jego francuskich kolegów, Chavala i Andre Francois, ale w tematach i pomysłach jest całkowicie oryginalny i niezależny. Fischer rozwija świetnie gatunek groteski, nieco makabrycznej; często rysuje topielców, ludzi uciekających przed rozszalałym bykiem, zlatujących z dachu, wpadających w otwór kanalizacji, etc. Te ciągotki do makabry nie mają jednak tak obsesyjnego charakteru, jak u niektórych Amerykanów.

Natomiast wyraźnie obsesyjne są żarty o żołnierzach. Fischer jest antymilitarystą, wyraźnie nie cierpi wojska, munduru, ze wściekłą uciechą kompromituje nadętych Prusaków w pickelhaubach. Tu już rzecz wykracza poza granice mniej lub bardziej pogodnego żartu, groteska przeradza się w satyrę.

Wyjątkowo tylko przedstawiamy w tej rubryce rysunki satyryczne. Ale Hans Fischer z pewnością zasługuje na to wyróżnienie.

J. W.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka"
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 2897 X. 58. M-1.

Jak wynika z wielu listów naszych Czytelników (będziemy je publikować począwszy od któregoś z najbliższych numerów), nie chodzą oni do kina, bo... nie ma w repertuarze filmów, które były przed wojną...

Zgodnie z zapowiedzią publikujemy poniżej fragment scenariusza, zaczerpnięty z większej całości.

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI

Karszowski, przedstawiciel wykorzenionego już świata ziemiańskiego, po wyjściu z więzienia ogłosił się jako jasnowidz, urządził gabinet przyjęć i wykorzystywał swe zdolności hipnotyczne. Naiwnych ludzi nie brakowało. Usypiał klientów, narzucał im swą wolę. Powodziło mu się dobrze. Wstąpił jako członek do klubu sportowego i uprawiał sporty wodne. Nabył na własność piękną żaglówkę. Pływał po Wiśle, zarówno sam jak i w towarzystwie kobiet.

...W międzyczasie powraca do Płocka Kazia. Próbuje w kilku firmach otrzymać posadę, lecz bezskutecznie. Zasoby pieniężne szybko topnieją. Pewnego dnia, przypadkowo spotyka na ulicy Karszowskiego. Podziwia on jej urodę, a właściwie zostaje nią oczarowany. Zaprasza Kazię do siebie i proponuje pomoc materialną, której Kazia nie mogła odrzucić. Zawiązała się między nimi intymna miłość. Czas spędzali na wspólnych spacerach i przejażdżkach po Wiśle.

Pierwsza przejażdżka żaglówką przypadła na dzień „Święta Morza". Kazia była zachwycona. Wezbrane uczucia okazywała ukochanemu przy każdej sposobności. Jak kotka żądna pieszczot — przymilała się obsypując go całusami. Obawiała się jednak gwałtownych ruchów Karszowskiego, stanowiących niebezpieczeństwo przechylenia żaglówki. Zarzuciła mu na ręce sznur dekoracyjny, którym była opasana i splotła węzeł. Karszowski nie sprzeciwiał się tej zabawie, bowiem przypadła mu do gustu.

Po jakimś czasie, upojony powodzeniem wśród kobiet, a zwłaszcza po zapoznaniu się z Zosią (córką maglarki) zaczął Kazię zaniedbywać, co nie uszło jej uwagi. Karszowski poznał Zosię u dentysty, gdzie pracowała w charakterze higienistki. Skorzystał z chwili, kiedy dentysta oddalił się do telefonu, i namówił ją do odwiedzenia swego gabinetu przyjęć.

Zosię dręczył brak pewności uczuć swego narzeczonego — obecnie już prokuratora, tym bardziej że ostatnio dłuższy czas przebywał on w Poznaniu. Pragnęła więc przekonać się o stałości jego uczuć i zdecydowała się udać po poradę do mieszkania hipnotyzera — Karszowskiego. Ten ją serdecznie przyjął, oczywiście poza kolejką zgromadzonych w poczekalni pacjentów.

...Karszowskiemu udało się stosunkowo w krótkim czasie zahipnotyzować Zosię. Po uśpieniu ułożył ją na tapczanie w zamiarach z góry uplanowanych. W tym momencie z bocznych drzwi wpadła Kazia. (Miała ona bowiem osobny klucz od mieszkania). Zauważyła całą intymną scenę. Szybko, z hukiem zatrzasnęła drzwi i wyszła. Od silnego wstrząsu Zosia obudziła się i stanęła w obronie swej czci. Karszowski zmuszony został do rezygnacji ze swych niecnych zamiarów...

Minął tydzień...

Kazia (wychowanka dziedzica), dręczona uczuciem zazdrości i urażonej ambicji, postanowiła odwiedzić swego przyjaciela z zamiarem zemsty. Zaopatrzywszy się w rewolwer podążyła do mieszkania Karszowskiego. Był to dzień „Święta Morza". Rok temu, również w tym samym dniu — oboje rozkoszowali się żeglowaniem.

Po wejściu do mieszkania Karszowskiego, Kazia serdecznie go powitała, obdarowując pieszczotami i całusami. Karszowski ucieszył się z tej wizyty i zauważył, że Kazia stała się jeszcze piękniejszą niż była, lecz traktował ją dość obojętnie. Kazia zaproponowała mu — jak rok temu — przejażdżkę żaglówką po Wiśle.

Karszowski zgodził się i skierował swe kroki do drugiego pokoju, celem przebrania się w strój marynarski. W chwili gdy Karszowski odwrócił się plecami, Kazia szybko wyjęła z torebki rewolwer i strzeliła w plecy ukochanego. Ale nabój w rewolwerze nie wypalił. Słysząc trzask cyngla Karszowski odwrócił się, lecz nie zauważył istotnego gestu, usiłował jedynie odebrać rewolwer. Kazia szarpnęła się, podbiegła do otwartego okna i wyrzuciła broń do ogrodu. Jednocześnie podskoczyła do Karszowskiego, rzuciła mu się na szyję z płaczem. Motywowała swój postępek chęcią samobójstwa z przyczyny zbyt obojętnego i zimnego odnoszenia się do niej. Karszowski rozczulony postępowaniem Kazi odwzajemniał się powściągliwie w pieszczotach. W najlepszym nastroju oboje skierowali się do przystani koła wioślarskiego na Wiśle.

W drodze — zaciskając usta — Kazia zmierzyła Karszowskiego złowrogim spojrzeniem i powzięła stanowczą decyzję.

Podczas spaceru żaglówką pięknie udekorowaną i rzęsiście oświetloną, Kazia zaproponowała oddalić się nieco od ogólnego zgiełku i wrzaskliwej muzyki.

Karszowski zgodził się i skierował łódź w dół Wisły. Wówczas Kazia wyraziła chęć ucałowania go, lecz tak, jak to uczyniła rok temu. Krępując mu uprzednio ręce. Karszowski nie sprzeciwiał się. Kazia szybko zdjęła ze swej talii sznurek, którym była opasana, przerzuciła mu przez głowę (siedziała bowiem z tyłu) i skrępowała ręce, tuląc mu się do twarzy i obsypując całusami. Z chwilą gdy się przekonała, że jego ręce są dobrze skrępowane, podbiegła do masztu, podskoczyła i uczepiła się go tak wysoko, jak tylko mogła sięgnąć i ze słowami „giń nędzniku" przewróciła żaglówkę.

Pasażerowie żaglówki poszli na dno. Na powierzchni pozostały jedynie: jej kapelusz słomkowy i jego czapka marynarska — ślady obojga kochanków.

Na cmentarzu widniały obok siebie dwie świeżo usypane mogiły.

COPYRIGHT BY

WIĘZY KRWI

Nie ma to jak więzy krwi. Ileż pięknych i wzruszających słów napisano na ten temat? A tu przykład sam jak z nieba leci: — oto siostry Bardot. Brigitte i o parę lat młodsza — Mijanou.

Mijanou pojawiła się niedawno na firmamencie filmowym. Zainteresowano się młodszą z powodu jej niezwykle popularnej siostry, która stworzyła swoisty typ filmowego kociaka, typ „zaraźliwy". (Roi się wszędzie od Brigittek przez małe „bb". Jedną z nich widzimy na zdjęciu. Jest to młoda aktorka angielska, Jackie Lane. Zdolności imitatorskie ma ona niejako wrodzone — jej siostra — Mara, jest z kolei sobowtórem... Giny Lollobrigidy!) Wróćmy jednak do Mijanou, która już na pierwszym szczeblu swojej kariery posiadała niecodzienny atut: — nazwisko. Kto nie pójdzie, przynajmniej jeden raz do kina żeby zobaczyć, jak wygląda siostra popularnej Brigitty?

W jednym z jej ostatnich filmów scenariusz przewidywał kąpiel nagiej Mijanou w morzu. I tutaj bomba.

Młoda aktorka oświadczyła reżyserowi, że nic z tych rzeczy. I zaproponowała zaraz, aby jako dublerkę nająć Brigittę, która — jak zaręczyła młodsza Bardot — zrobi to z przyjemnością...

Pamiętała także o starszej siostrze przy innych okazjach. Choćby przy niewinnej z pozoru sprawie ścięcia włosów u słynnego paryskiego Gabriela Garlanda. Na zapytanie reporterów, dlaczego zmieniła fryzurę, Mijanou oświadczyła, że aczkolwiek bardzo lubi długie włosy pozbyła się ich, by nie przypominać Brigitte.

A teraz osądźcie sami. Czy podobieństwo do Brigitte naprawdę groziło Mijanou?

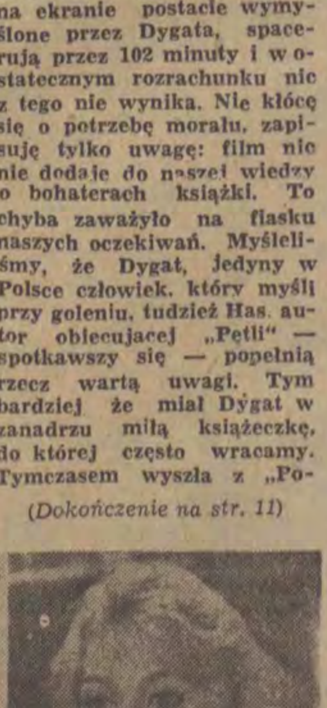

UWAGI PRZED PREMIERĄ

EDWARD ETLER

WIDZIAŁEM POŻEGNANIA

* Dramat z wyższych sfer
* Tragedię fordanserki

Nie wypada ponoć pisać krytycznie o filmie, którego jeszcze nie ma na ekranach. Może jest w tym jakaś racja moralna? W każdym razie istnieje niepisana umowa, coś na kształt : podobieństwo zakazu. Wbrew jego przepisom nasza rubryka „uwagi przed premierą" — występuje zazwyczaj nie bez widocznej satysfakcji. Słowem — niniejsze uwagi rodzą się z winy rubryki, do której — kto chce — może mieć pretensje.

Po takim wstępie można już oświadczyć, że z „Pożegnań" wyszły nici. Nawet po trosze zgadzałoby się to z prawdą, gdyby nie pewien ważki szczegół. Te nici nie przypominają bowiem dawnego gatunku, nie nawiązują one do klasyki całkowitych pomyłek artystycznych. I jeśli tak wyglądać będzie przeciętny film rodzimej produkcji — to „Pożegnania" są wydarzeniem niemal radosnym. Bo ten obraz, nie roszczący sobie zbytnich pretensji, zawiera jednak sporą ilość fragmentów pomyślanych dowcipnie — choćby żartem literackim — zawsze jednak ciekawych dla widza. A dodać jeszcze trzeba rzetelne kadry, tyleż ładnie dobranych scenerii, no i naprawdę niecodzienną obsadę aktorską; przynajmniej w rolach epizodycznych.

To wszystko powinno składać się na dobre kino, ale tak niestety nie jest.

Dlaczego?

Gdzieś pod koniec „Pożegnań" spotyka się p. Skarżanka z p. Janczarem i zaraz z ust kobiecych padają owe cenne słowa, które — przypuszczam — wywołają na widowni pewne ożywienie.

— Pusta szklanka jest jak trumna bez nieboszczyka.

To zdanie powoduje, hm, refleksje. Bo właśnie z „Pożegnaniami" jest trochę jak z tą szklanką. Jest to film puściutki, o nic w nim nie chodzi. Nie ma on żadnej myśli i nijakiej, choćby taniej filozofii. Spotykają się na ekranie postacie wymyślone przez Dygata, spacerują przez 102 minuty i w ostatecznym rozrachunku nic z tego nie wynika. Nie kłócę się o potrzebę morału, zapisuję tylko uwagę: film nic nie dodaje do naszej wiedzy o bohaterach książki. To chyba zaważyło na fiasku naszych oczekiwań. Myśleliśmy, że Dygat, jedyny w Polsce człowiek, który myśli przy goleniu, tudzież Has, autor obiecującej „Pętli" — spotkawszy się — popełnią rzecz wartą uwagi. Tym bardziej że miał Dygat w zanadrzu miłą książeczkę, do której często wracamy. Tymczasem wyszła z „Po-

(Dokończenie na str. 11)